Nr. 21 (1169). Warszawa, dnia 10 (23) Maja 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

ŻĄDZE AMERYKAŃSKIE.

Prezydent Roosevelt przy zbliżającym się coraz bardziej terminie wyborów na prezydenta, coraz też częściej używa mównicy publicznej dla wkupienia się w łaski nietylko republikanów, którzy miewali dotąd stałą prawie większość w kolegiach specyalnie przez konstytucyę do wybierania prezydenta powołanych, ale i demokratów, którzy mogą przypadkiem tę większość posiąść, jeżeli się im zawczasu nie oderwie znaczniejszej liczby głosów, przez zjednanie ich z góry dla siebie. Za pompę, która ma jednych ssać, drugich tłoczyć, służy prezydentowi idea wielkopaństwowości Stanów Zjednoczonych, mająca je postawić na równi ze wszystkiemi pierwszorzędnemi potęgami świata, zarówno materyalnie, jak moralnie. Rzeczpospolita Waszyngtonów, Jeffersonów i Lincolnów musi się przeobrazić w mocarstwo nietylko równe innym co do swej siły, ale i podobne do nich z samej swej istoty. Jak dla wszystkich mocarstw życie i rozwój zewnętrzny jak największy stanowią zadanie i cel najpierwszy, tak i dla Stanów Zjednoczonych rozpostarcie się terytoryalne na zewnątrz ma dać kierunek ich dalszemu pochodowi dziejowemu.

Nie wystarcza już „Ameryka dla Amerykanów,“ nie wystarcza teorya Złotego Koła, urzeczywistniona w protektoracie nad Kubą i zagarnięciu Portorico; nie wystarczyłoby nawet podstawienie Unii na miejsce Amerykanów w formule nazwiskiem Monroe'a opatrzonej: Stany Zjednoczone muszą iść dalej i dalej, już nie po kontynencie amerykańskim, ale po wielkim bezmiarze wód, oddzielających na zachodzie świat nowy od starego. Ocean Spokojny, ten sam, na którym dziś wielka rzeczpospolita postawiła rzeczywiście stopę swą dopiero na wyspozbiorze hawajskim, powinien z czasem stać się jej własnością; nikt inny na tem olbrzymiem terytoryum morskiem, zajmującem prawie połowę równoleżnikowej rozciągłości ziemi, panować nie będzie, tylko oni, Amerykanie z tej rzeczypospolitej. Niechżeż o tem z góry wiedzą inne mocarstwa panujące na morzach— niech wie przedewszystkiem Anglia, i niech się z góry wyrzeknie swej żądzy zaborczej morskiej, albo przygotuje na walkę do upadłego: *Roma locuta, causa finita.* Tak ma być i tak będzie; polityczne i handlowe panowanie nad Oceanem należy już dzisiaj do Stanów Zjednoczonych, bo już dziś sięgnęła po nie ich żądza.

Przed wojną z Hiszpanią (1898), przed koncertem chińskim (1900) dzwon zwołujący na takie nabożeństwo możeby nie zgromadził wiernych w świątyni ideałów republikanizmu amerykańskiego; ale zabór Filipin i Portorica, protektorat nad Kubą, uczestnictwo z czystem sumieniem i doskonałym humorem siły przeprowadzone w starciu z Chinami—zmieniły rdzennie psychologię społeczeństwa, zorganizowanego w wielką rzeczpospolitę amerykańską. Mc Kinley dał pierwszy popęd, Roosevelt daje dalszy rozmach. W obu stronnictwach głównych, na które się rozszczepia rozum i namiętność polityczna zbiorowości, idea mocarstwowości wszechświatowej przez te kilka lat ubiegłych uczyniła ogromne podboje. I republikanin i demokrata nie poprzestają już dzisiaj na jeffersonowskiem uszlachetnieniu idei republikańskiej i przeciwstawieniu jej Europie, na jak najwyższym rozwoju kultury, a przytem — strzeżeniu prochu, aby nie zamókł; żądza raz już nasycona toczy i jednych i drugich, a proste prawo psychologiczne nakaże tej żądzy rosnąć tem wyżej, im bardziej zdobywana rzeczywistość nasycać ją będzie. Żądza rozpościerania się i panowania znajduje granice tylko w sile wyższej z podobnej sobie żądzy w innych powstałej. Raz zapaloną wyobraźnię gasi tylko ulewa nieszczęścia — bezsilność.

Rozumny cel, wypromieniający się z żądzy, nie może być wyłącznie tylko handlowym; nawet przy największem zaludnieniu tych punkcików na oceanie, jakimi są lądy Polinezyi, nie starczy skórka za wyprawę, najświetniejsze zyski nie opłacą nakładu niebezpieczeństw i rzeczywistych starć, z Anglią nieuchronnych. Cel jest polityczny: bliższy — zabezpieczenie się od zachodu przez opanowanie wszystkich stanowisk zasobowo-wojennych na oceanie; dalszy — zaokrąglenie i rozszerzenie zdobyczy filipińskiej Melanezyą — później wydarcie Indonezyi obecnym jej posiadaczom, może nawet pokuszenie się o bratni związek z Australią. Kiedyś do takiego uderzenia czołem o pancerz angielski przyjść będzie musiało, jeśli niepowodzenie nie podetnie całego zamysłu u samych podstaw, w samym początku. Ale już wtedy rzeczypospolitej amerykańskiej, społeczeństwa wolno rządzącego się, wzoru dla Europy za Atlantykiem nie będzie. Owa żądza może się od niepowodzeń wypalić, może przytem zewnętrznych nieszczęść nie zgotować, bytowi politycznemu, istnieniu państwowemu pośród narodów nie zagrozić; ale jeden skutek nowego programatu będzie nieodwróconym, niewzruszonym, fatalnym: Stany Zjednoczone zamienią się w państwo militarne na morzu i na lądzie; militaryzm

ich rozsadzi formy republikańskie; absolutyzm, silniejszy lub słabszy, stanie się koniecznem dla żądzy narzędziem; najpierw pojedyncze stany utracą swą samodzielność, a potem organizacya całości runie, aż wreszcie sama rzeczpospolita duszę wyzionie. Idea siły zrobi swoje.

Turcya nowożytna.

Turcya dzisiejsza ogromnie się różni od tej, jaką była przed pięćdziesięciu laty—mówi Armenius Vambéry, który przez pół wieku blizko badał ten kraj i życie jego ludów w bezpośredniej, osobistej z nimi styczności. W roku 1857, kiedy tam przybył po raz pierwszy, znalazł najzupełniejszą nieznajomość języków i pogardę kultury zachodnio-europejskiej. Każdy Turek uważał stanowisko ambasadora w którem kolwiek z państw europejskich za wygnanie, stosunki z Europejczykami, znajomość ich literatury i języków — za naruszenie przepisów Koranu; używanie kapelusza lub czapki— za odstępstwo religijne. Prawo, skazujące kobiety na zamknięcie w haremie, w odosobnieniu od mężczyzn, było tak głęboko wkorzenione, że zdarzały się wypadki spalenia w czasie pożaru li tylko dlatego, że mieszkanki haremu nawet za cenę życia nie chciały się ratować ucieczką przez selamlik, tj. pokoje przeznaczone dla mężczyzn. Nie było prawie szkół publicznych, żadnych literalnie zakładów naukowych dla kobiet; a każdą młodą dziewczynę, która okazywała chęć do nauki, uważano za zgubioną pod względem moralnym, za kandydatkę do prostytucyi. Ale i mężczyźni żyli w najzupełniejszej ciemnocie: znaną jest anegdota o podsekretarzu ministeryum spraw wewnętrznych, który pytał lorda Stratford Canninga, czy Dania nie uczuje się skrzywdzoną wskutek przekopania międzymorza Suez.

Tak było przed niespełna pięćdziesięciu laty, dziś jednak jest zupełnie inaczej. Oświata w Turcyi podniosła się znacznie, jest może bardziej ogólną, niż w Europie zachodniej. Szkoły elementarne, średnie i wyższe stoją otworem dla młodzieży płci obojej, która też z łatwością przyswaja sobie języki obce. Literatura ważnej uległa zmianie: napuszony, niezrozumiały dotychczas styl turecki, przeładowany perskiemi i arabskiemi wyrażeniami, ogromnie się uprościł, nagiął do wymagań nowoczesnej kultury i nauki. Turcy tłomaczą i przyswajają swemu narodowi, co tylko się ukaże lepszego w innych językach, choć nie brakuje dzieł oryginalnych w języku tureckim we wszystkich dziedzinach wiedzy. Prasa, jakkolwiek krępowana bardzo surową cenzurą, rozwinęła się ogromnie.

Przyznać jednak trzeba, że ten postęp ogranicza się tylko do sfery wykształcenia: w dziedzinie gospodarstwa i życia publicznego nie przyniósł on zmian ważniejszych. Handel i przemysł po dawnemu znajduje się przeważnie w rękach chrześcian miejscowych lub cudzoziemców. Dla Turka istnieje tylko karyera urzędnicza i wojskowa, inne zajęcia uważa za poniżające dla siebie. Wobec tego nie można się dziwić trudnościom, z jakiemi trzeba walczyć, chcąc tam wprowadzić jakiekolwiek reformy polityczne i społeczne. Naprzód w tym kierunku reformatorzy wyszli z fałszywego założenia; przedewszystkiem należało się zająć rozwojem pojęć religijnych i społecznych w całej masie narodu. Co za pożytek przytem dać może wyższa kultura umysłowa sfer przewodniczących, jeżeli sułtan opiera się przy zachowaniu wszystkich swych przywilejów? Abdul Hamid, choć bardzo zdolny i niezmiernie pracowity, a usiłowaniom wprowadzenia reform bynajmniej nie przeciwny, usuwa z nich jednak wszystko, co się nie zgadza z jego pojęciami absolutyzmu. Wprowadzenia reform w państwie lęka się głównie dlatego, że instytucye liberalne dałyby chrześcianom te same prawa, co muzułmanom i zapewniły im szerszy udział w życiu publicznem i w służbie rządowej — a więc ułatwiły wybuch rewolucyi, której się strasznie boi; nie wierzy bowiem, żeby jakiekolwiek swobody mogły stłumić w podległych mu ludach obcych pragnienie niezależności narodowej. Niezmiernie podejrzliwy, o bezpieczeństwo swej osoby niesłychanie dbały, otoczył się ludźmi, którzy wyzyskują jego obawę, aby trzymać zdala od Ildizu tych, coby mogli być dla nich niebezpieczni. Sułtan chce się wszystkiem sam zajmować, pracuje bardzo, wstaje wcześnie, kładzie się późno; w swoich rękach skupił wszystkie nici maszyny rządowej i dlatego właśnie przyczynił się w znacznym stopniu do pogorszenia ogólnego stanu rzeczy. Pominąwszy zresztą osobiste usposobienie sułtana, trudno przypuścić, żeby reformy przyjęły się tak zaraz tam, gdzie przez tyle wieków panowało prawo wyłączności, gdzie każdy Turek, jako potomek zdobywców, uważał się za istotę uprzywilejowaną i wyższą wobec ludności podbitej. Wszakże ta obawa zrównania w prawach z ludnością chrześciańską skłoniła do wychodźstwa setki tysięcy muzułmanów, którzy z półwyspu Bałkańskiego uciekli przed tem widmem do Azyi.

Przytem Turcya nie ma pieniędzy na przeprowadzenie zmian w swej administracyi państwowej, nie ma ich nawet na zaspokojenie potrzeb chwili bieżącej. Nie umiała też zjednać sobie i utrzymać przyjaciół i sprzymierzeńców politycznych, którym zaufać mogła; Niemcy bowiem pomimo najpiękniejszych obietnic nic nie zrobią dla obrony całości państwa otomańskiego. Daremnie też się łudzić, żeby jakiekolwiek reformy w Macedonii mogły przywrócić porządek na półwyspie Bałkańskim. Rzeczy pójdą swą nieodwołalną koleją: ku nowemu rozbiorowi chorego ciała.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Fremdenblatt i *Nowoje Wremia*, w zgodzie z p. Gołuchowskim odpowiadającym deputacyi „Exportvereinu," rozbudzają otuchę w pokój na Bałkanach. Dziennik petersburski mówi, że gdyby mocarstwa chciały interviewować, byłyby skorzystały z wypadku w Salonice. Manifestacyjna obecność floty austryackiej, następnie włoskiej, i pojedyńczych okrętów innych mocarstw w porcie salonickim należy już do przeszłości. Po powrocie ks. Ferdynanda do Sofii i odprawieniu gabinetu Danewa za wyraźne lekceważenie osoby panującego przez min. sprawiedl. (Rudewa?), Porta oraz inne państwa bałkańskie sąsiadujące z Bulgaryą, zapytały w Sofii o znaczenie koncentracyi wojsk na pograniczach. W tem wspólnem zapytaniu mieści się żywioł wspólności interesów przeciwko Bulgaryi, a ta wspólność znowu daje rękojmię pokoju, dopóki z po za piór dyplomacyi nie wyjrzą karabiny. Bulgarya sama jedna nie rzuci się na Turcyę. Sułtan nareszcie zabrał się do Albańczyków. Wojsko zajęło już Djakowę i stara się zaskoczyć Ipek z jak najmniejszym rozlewem krwi, która dla Turków drogą być musi. Do Skodry przybył nowy gubernator Haidarbasza. W Monastyrze, jak i w Salonice, Turcy dopuścili się gwałtów na ludności chrześciańskiej. Były nowe potyczki z Bulgarami.

---

7)

Wacław Sieroszewski.

POWRÓT,

POWIEŚĆ.

Karski odszedł na ubocze i położył się na miękiem wydmisku twarzą do góry. Wysoko nad nim, na mleczno-szafirowem sklepieniu drżały ledwie dostrzegalne gwiazdy. Wokoło głucho szumiały nurty, wietrzyk szeleścił w wiklinach, zwiastując rychły świt. Białe, zwiewne opary sunęły ponad wodami, siląc się nadążyć za pieszczącymi ich rąbki wartami.

Karski zamknął oczy i wyobrażał sobie, jak też wygląda z oddali wśród tego ogromu i majestatu drobna wysepka z iskrą płonącego ogniska, przyćmiona bałwanami kłębiącego się dymu, poplamiona marami dziwacznych cieni, skaczących w rubinowej łunie pełgającego blasku... Nikłe głosy chóru zapewne ledwie mąciły wiekuistą pieśń rzeki!..

Ale z blizka hulaszcza, ludzka piosenka głuszyła wszystko...

Och, och!.. Juchy,
Wy dziewuchy,
Udajecie, żeście zuchy;
A jak przyjdzie...
Co do czego,
Każda boi się wszystkiego.,
. . . .
Każda boi się wszystkiego,
Oj Derbent, Derbent, Kaługa,
Derbent, Ładoga... moja!
Oj luli luli la,
Derbent, Ładoga, moja!

grzmiał zaciekle chór.

Karskiemu po niejakim czasie zdawało się, że wyspa kołysze się pod nim i płynie z głosami. Usiadł i spojrzał na śpiewających. Na przedzie siedział krwawy od płomieni ognia Indor i, trzymając nóż za koniec ostrza, wybijał nim takt w powietrzu. Dopóki on śpiewał z ręką wzniesioną do góry, chór milczał po za nim w napiętem skupieniu i tylko po zmiennych cieniach, falą przepływających w takt pieśni na zasłuchanych twarzach śpiewaków, po blasku ich oczu, drżeniu zaciętych warg poznać było, że melodya gra im we krwi nieustannie. Lecz w miarę jak zwrotka dobiegała do końca, ledwie dostrzegalny dreszcz rósł wśród śpiewaków, a z ostatnim jej dźwiękiem zmartwiała ich gromada nagle ożywała: jeżyły się wąsy i brody, otwierały szeroko usta, błyskając zębami, nabrzmiewały grube gardziele, pęczniały na czołach żyły i mięśnie, drgały ramiona, wzlatywały ręce, przytupywały nogi, ogorzałe, obnażone piersi wznosiły się gwałtownie, niby gotowe pęknąć, i pieśń dzika, wolna, porywająca, choć nierozumna, zgodnie leciała w przestworza:

Oj Derbent, Derbent, Kaługa,
Derbent, Ładoga — moja!
Oj luli—luli—la!
Derbent... Ładoga--moja!

Poczem chór ucinał równie gwałtownie, jak gwałtownie wybuchał...

I znów ostry, wysoki głos solisty wywodził inną zwrotkę w nagle zapadłem milczeniu, a wtórzył mu szum rzeki i ciche, srebrne echa, zbudzone przez pieśń wśród dalekich skał i lustrzanych roztoczy... I znowu ożywał wielogłosy, wszczepiony w ciemność potwór śpiewaczy, głuszył i pokrywał wszystko, drgał, ruszał się i prężył... A choć każdy śpiewał inaczej, innym ruchem sobie przywtórzał, inaczej głowę chylił, inaczej czapkę na ucho nasuwał, lecz wszystkich łączyła jakaś potężna współ-

Koło polskie w Wiedniu nareszcie ma otrzymać nowego sternika. Znaczna już większość sarka na p. Jaworskiego, choć niewielu tylko ma odwagę głośno się odezwać. Stare dziecko, ma p. Jaworski przed dymisyą otrzymać *votum zaufania* — dziwna polityka i niepojęta delikatność. Minister Piętak chciał się podać do dymisyi; Körber go jeszcze zatrzymał nową obietnicą upaństwowienia kolei Ferdynanda. Obietnicą!

P. Stanisław Badeni ma napowrót zostać marszałkiem sejmu galicyjskiego.

W Kroacyi przez 10 dni, do środka przeszłego tygodnia, trwało wzburzenie w natężeniu, pozwalającem już mówić o charakterze rewolucyjnym. Napadano na strażnice wojskowe, na urzędy państwowe i municypalne, na komory, koleje żelazne; zdzierano chorągwie i napisy węgierskie. Ban Kuehn-Hedervary, madiaryzator, miły rządowi, powołany do Pesztu, zwalił połowę winy na rozruchy w sejmie węgierskim; stan *ex lex* miał jakoby ośmielić Chorwatów. Może to być, ale ban miał jeszcze bliżej do prawdy, gdyby chciał był poszukać jej na własnem sumieniu. Chorwaci korzystają z wybryków mniejszości sejmowej, aby dać ujście oddawna zbierającemu się w ich duszach uczuciu krzywdy, która im się dzieje od Węgrów. Szell w Izbie niższej przyznał, że stan jest niedobry, nawet groźny; rząd poskromi zaburzenia siłą; bajką jest, jakoby Wiedeń patrzał na nie miłem okiem; zresztą nie Wiedeń i nie cesarz, ale Peszt i król mają tu moc rozstrzygającą; większość Chorwatów potępia zaburzenia.

W Anglii i w Izbie niższej wniesiono mocyę, aby spory z Francyą poddawać sądowi rozjemczemu. Rząd zręcznie się wywinął. W rozprawach nad marynarką zażądano ogólnego ograniczenia uzbrojeń. Dilke twierdził, że Francya i Anglia powinnyby „zbadać kwestyę, aby określić możliwość porozumienia się z Rosyą"; propozycya wprost wyszła od Anglii mogłaby wywołać wojnę. Anglia na budowę nowych okrętów przeznacza tyle, ile Rosya, Francya i Niemcy razem wzięte.

Hay, sekretarz stanu wielkiej Unii, nie „widzi potrzeby działania wespół z innemi mocarstwami z powodu Mandżuryi." Cranborne i Lansdowne na interpelacyę odpowiedzieli, że wystąpienia Anglii nawet we własnem tylko imieniu po otrzymanych zapewnieniach nie uważają za potrzebne. Ponieważ Japonia ma przymierze z Anglią, przeto punkt widzenia angielski musi być i japońskim: sprawa mandżurska zatem rozwiązana jest już w myśl siedmiu punktów Reuter's Office. Francya w imię przymierza z Rosyą stoi na rosyjskim punkcie widzenia, a Niemcy same jedne nie wystąpią. Roosevelt miał mowę o prawie St. Zjednoczonych do oceanu Spokojnego. Ameryka panować na nim musi; pomnożenie floty, rola wielkiego mocarstwa — to ich obowiązek.

W Hiszpanii, po wyborach, które wprowadziły do Izby deputowanych od 30—40 republikanów, wybory do senatu d. 10 b. m. dały 47 liberalnych na 107 zachowawców i 20 różnych. W Tarasca polała się krew.

W Chicago zawiązał się spisek dynamitowy na okręty handlowe angielskie. Odkryto już przyrząd wybuchowy na „Umbrii." Cała flota angielska w stosunkach ze St. Zjednoczonymi zagrożona. Głównym sprawcą i kierownikiem ma być niejaki Rossow.

W Bulgaryi nowy gabinet wytworzyć ma Paprykow lub Petrow.

Powstańcy marokańscy od dwu tygodni oblegają Tetuan.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Dola uwiedzionych.

Duch bezwzględny egoizmu męzkiego, który unosił się przed wiekiem nad posiedzeniami twórców kodeksu Napoleona i tak wyraźne wycisnął piętno na ich dziele pomnikowem, tak stanowczo i twardo przeprowadził w niem zasadę upośledzenia praw kobiety wobec mężczyzny, dumnym dziś być może z nowych tryumfów i z oczywistej trwałości wspomnianej zasady. Do szeregu krzywd, od lat tylu wyrządzanych kobietom przez obowiązujące u nas prawa, zbieg okoliczności dorzucił nowe dla mężczyzn udogodnienie, zwracające się przeciwko najbardziej przez ród męzki krzywdzonej kategoryi kobiet — uwiedzionym dziewczętom. „Poszukiwanie ojcowstwa jest wzbronione" — głosi krótko i wyraźnie artykuł 305 kodeksu cywilnego, wyjątek tylko czyniąc dla uwiedzionej za pomocą porwania; ten ostatni jednak system zdobywania serc niewieścich, jako zbyt kłopotliwy i ryzykowny a warunkom dzisiejszym mało odpowiedni, zupełnie przez Don Juanów współczesnych został zaniechany; wszelkimi zaś innymi, powszechnie stosowanymi sposobami, uwiedzione dziewczęta pozbawione są całkowicie możności uzyskania od uwodziciela w drodze cywilnej jakichbądź środków na utrzymanie dziecka. Że takie zwalenie całego ciężaru niepożądanego przybytku na ubogą najczęściej matkę wpływa znakomicie na powiększenie liczby dzieciobójstw, podrzuceń i rozwój wszelkiego systemu „fabrykacyi aniołków," dowodzić cyframi nie potrzeba. Do roku bieżącego jednak pokrzywdzone, jeśli się zwróciły o pomoc do umiejętnych prawników, mogły korzystać z furtki w murze egoizmu napoleońskiego, przez adwokatów naszych — zapewne dzięki niezupełnej solidarności męzkiej — ku szkodzie uwodziciela wynaleziónej. Królestwo Polskie, jak wiadomo, posiada odrębny kodeks cywilny, na napoleońskim oparty, kodeks karny jednakże jest ten sam, co w Cesarstwie. Otóż artykuł 994 kod. kar. za nieprawne pożycie nieżonatego z niezamężną nakłada na winnych pokutę kościelną, a w razie przyjścia na świat dziecka — zobowiązuje ojca do zapewnienia mu i matce przyzwoitego utrzymania; na zasadzie tego właśnie artykułu uwiedziona, jeśli dowiodła przed sądem karnym uwodzicielowi ojcowstwa, skazywana była wraz z nim na pokutę kościelną, lecz przyznane miała jednocześnie alimenta. W praktyce sprawy tego rodzaju (wobec formalnej prawie kary za konkubinat), wszczynane były tylko w razie skargi ze strony uwiedzionej i miały jedynie znaczenie obejścia krzywdzącego dla kobiet prawa cywilnego. Roku przeszłego jednak zbiór praw cywilnych rosyjskich uzupełniony został humanitarną nowelą, zmierzającą ku poprawieniu losu dzieci nieślubnych i ich matek; nowe prawo zapewniło uwiedzionym możność uzyskania alimentów w drodze normalnej, tj. cywilnej — przytoczony przeto powyżej art. 994 kod. kar. stał się w Cesarstwie zbytecznym i z chwilą wprowadzenia w życie owej noweli całkowicie zniesiony został. Ale nasz kodeks cywilny nie uzyskał takiego uzupełnienia, wykreślenie więc art. 994 wspólnego kodeksu karnego zamknęło ostatnią furtkę dla naszych dziewcząt uwiedzionych: wytworzyło się nagle nieprzewidziane zapewne przez twórców noweli położenie, że ludzkie, poprawę losu kobiet na celu mające nowe prawo rosyjskie, wywołało jednocześnie znaczne pogorszenie ich doli u nas. Skutkiem tej drobnej na pozór zmiany w prawodawstwie miejscowem sądy karne poczęły umarzać wszczęte już sprawy z art. 994 k. k. i odmawiać przyjmowania skarg nowych. Aby należycie ocenić doniosłość tej zmiany, trzebaby zajrzeć do mrocznych kancelaryj sędziów śledczych i podpatrzyć

---

dźwięczność, jakaś współbieżność głęboko nurtujących instynktów, rosnąca sama przez się i gotowa wszystko, zda się, w nieskończonym swym rozmachu zdeptać, pokruszyć, rozpętać!..

Karski daremnie w sobie tego czegoś szukał.

— Co tu gadać: niema. Znikło, a może nigdy nie było!.. — rozważał ze szczyptą żalu, gdyż, bądź co bądź, śpiew robił swoje i budził w nim tęsknotę do chwilowego choć ale zupełnego zapomnienia o innych, do zupełnej beztroski... On nigdy nie zaznał takiego całkowitego rozkiełznania swej osobistości. Leżał rozmarzony na nagrzanych piaskach i słuchał, aż pieśń zamieniła się w niesforny wrzask pijanych, rozwydrzonych głosów. Wtedy wstał i odszedł ku łodzi.

Na brzegu, w ciemnościach, dwie figury szamotały się z sobą.

— Idź już, mówię ci... odbijaj... dalej od grzechu... — szeptała jedna.

— Ja się nająłem, ja bez niego... nie mogę... Teraz noc!.. — krzyczała druga.

Poznał Koźmę i przewoźnika Jakuta. Podszedł ku nim, przestali się szarpać.

— O co chodzi?..

— Upił się i jechać nie chce...

— Człowieka przywiozłem!., — tłomaczył się Jakut.

— Wynoś się, wynoś, nie wódź ludzi na pokuszenie!.. — gadał Koźma i pchał przeciwnika ku wodzie. Karski nie mieszał się do sporu, ale nie odchodził. On zrozumiał pobudki starego oryla, nie miał również najmniejszej ochoty siedzieć na wyspie lub wracać do miasta. Jakut zmiękł nagle, siadł do łodzi i zażądał tytoniu.

— Masz i wynoś się, i żeby tutaj w blizkości ducha twego nie postało!.. — wyprawiał go Koźma.

— Przyjadę jutro!.. — groził krajowiec z ciemności.

— A jakże! Już my cię tu przywitamy! Pan nie uwierzy, coby to było jutro, gdyby te psy znów miasto zwietrzyły. Znam ich dobrze!.. Jeden albo dwóch by uciekło, a reszta by się zbuntowała... Nie chcemy ciągnąć!.. Mało nas!.. Wracaj do miasta!.. A właściwie o co im chodzi: o szynk. Och, grzechy, grzechy... przewinienia!..

— A Indor? — spytał Karski.

— Pójdzie i Indor. Dokąd się podzieje?! Dokoła woda... Choć, prawdę powiedziawszy, lepiej, żeby go nie było. Ha, trudno! Co ma być, to będzie! Będziemy się strzedz! Co, spać pan idzie?

— Spać!

— Tak, tak!.. Jutro rano ruszamy... Niech pan spoczywa z Bogiem... Dobranoc!

Obejrzeli się po za siebie na wzgórek, gdzie w krwawej łunie ogniska skakały kosmate cienie i tłukła się ochrypła pieśń, rwąc daremnie ku niebu. Koźma znikł gdzieś w cieniu szkuty, a Karski ostrożnie wpełznął pod daszek swej budy.

— Nie śpisz, Anno? — spytał, słysząc westchnienia żony.

— Te wycia umarłego są w stanie obudzić! Straszni ludzie, i jakie... nieprzyzwoite rzeczy wygadują. Tyle dni razem!!. Jak ja, po tem wszystkiem, twarz im pokażę!— biadała pani Anna.

Karski milczał.

V.

Rzeka łuszczyła się cała od wiatru. Porwane, płowe chmury płynęły po niebie i chwilami ćmiły słońce. Naówczas wiatr się wzmagał i na zciemniałych falach pojawiały się białe, pieniste „zające." Szkuta zaczynała się gwałtownie kołysać, bryzgi wody leciały przez burty i wśród kupców wszczynał się popłoch...

— Damianie, przeklęty człowieku, chcesz nas utopić!.. Wczoraj kiedy była ładna pogoda, toś balował... Hej! chłopcy, pomarliście?.. Mieszacie wiosłami, jak łyżkami

sceny, jakie się tam dzieją od lipca roku zeszłego, kiedy sędziowie wyjaśniają skarżącym świeżo powstałe okoliczności; trzeba widzieć zalane łzami twarze biednych dziewcząt na wieść, że wszczęte przez nie sprawy muszą być umorzone, że pieniądze wydane na napisanie skargi i zebranie należytych dowodów poszły na marne. Nie mogą one zrozumieć, dlaczego im się ta krzywda dzieje, z niedowierzaniem i żalem słuchają zakłopotanych sędziów śledczych, a płacz tłumiony na razie poszanowaniem groźnej kancelaryi, wybucha już w przedsionku, z hałaśliwem narzekaniem i skargą na przewrotną sprawiedliwość męzką; „chłop zawsze za chłopem trzyma“—utyskują rozżalone.

W sądownictwie miejscowem podjęto nawet kwestyę, czy owo zniesienie art. 994 kod. kar. rozciąga się i na Królestwo Polskie, czy nie należy uważać tego paragrafu jako niczem dotąd w prawodawstwie miejscowem niezastąpionego, za obowiązujący nadal u nas. Gdy sprawa ta doszła do senatu, urząd prokuratorski wypowiedział się za pozostawieniem tego artykułu w Królestwie Polskiem w swej mocy; sprawę dla jej ważności oddano jednak do rozpatrzenia ogólnemu zebraniu departamentów senatu, które rozstrzygnęło ją w tych dniach ostatecznie na niekorzyść uwiedzionych, orzekając bezwarunkowe zniesienie art. 994 kod. kar. w Cesarstwie i Królestwie bez różnicy. Decyzya senatu została w zeszłym tygodniu zakomunikowaną urzędownie ogólnemu zebraniu członków warszawskiego sądu okręgowego.

Tak więc w obecnej chwili położenie uwiedzionych i ich dzieci w naszym kraju gorsze jest, niż było kiedykolwiek; trudno przypuścić, aby sfery prawodawcze pozostawiły rzeczy te na przyszłość bez zmiany — tymczasem jednak wielkiej ilości dziewcząt dzieje się krzywda ogromna.

Jerzy Skokowski.

Listy z Francyi.

Paryż, 12 maja.

Obrady międzynarodowego komitetu walki przeciw gruźlicy. — Mowa Casimir-Périer'a. — Sprawozdanie delegatów zagranicznych i przemówienie prof. Brouardel'a — 14-ty kongres kolejarzy francuskich. Kongres pracowników poczt, telegrafów i telefonów.— Kongres w Bordeaux.

Przed kilku dniami obradował po raz pierwszy w Paryżu międzynarodowy komitet walki przeciw gruźlicy. Założony w r. 1900, ukonstytuował się właściwie dopiero w roku zeszłym i pierwsze jego narady odbyły się w październiku w Berlinie. Na stanowisko prezesa owego komitetu powołano od chwili założenia dr. Brouardel'a, znanego powszechnie b. dziekana wydziału lekarskiego w Paryżu, w skład członków zaś weszli nietylko lekarze, ale i różne wybitne osobistości, jak niemiecki minister Posadowsky, ks. Oldenburski, hr. de Mun, ks. d'Aremberg itd. Duszą komitetu, najenergiczniejszym działaczem jest główny sekretarz dr. Panwitz, stałem zaś siedliskiem — Berlin, gdzie gromadzone są wszelkie wydawnictwa w tym kierunku, plany i tablice statystyczne, tam też wychodzi miesięcznik w językach francuskim, niemieckim i angielskim. Kilka posiedzeń zamkniętych zużyto na prace przygotowawcze do międzynarodowego kongresu przeciwgruźliczego w 1904 r. w Paryżu, procz tego dokonano wyboru delegatów na wystawę w St. Louis, oraz zdecydowano zmianę nazwy dotychczasowej na „Stowarzyszenie międzynarodowe do walki przeciw gruźlicy.“ Na zakończenie zjazdu odbyło się zebranie publiczne pod przewodnictwem b. prezydenta Rzeczpospolitej, Casimir-Périer'a, przy udziale 1,200 osób. Casimir-Périer, cieszący się wielkiem uznaniem z przyczyny swej szerokiej działalności filantropijnej, wypowiedział podniosłą mowę, pełną trafnych myśli. „Nie siłą, mówił on, lecz dobrocią należy szerzyć hygienę wśród wydziedziczonych, gdyż oni nigdy jej nie przyjmą, jeśli narzucić ją zechcecie w sposób brutalny, zdradzający egoistyczne tchórzostwo. Walka z gruźlicą nie może się ograniczyć do środków lekarskich, gdyż wiąże się z najbardziej zawiłemi zagadnieniami ekonomicznemi, zawsze więc okaże się niedostateczna, jeśli nie będzie zmierzała do materyalnego i moralnego polepszenia bytu proletaryatu. Wymaga ona powołania do życia wszystkich sił społecznych — publicznych i prywatnych, oficyalnych i dobrowolnych, wszystkich solidarnie złączonych sił ludzkich. Niech jednak siły urzędowe strzegą się nadużycia swej wszechmocy, a usiłowania prywatne niech się jednoczą, aby nie pozostały zbyt słabymi. Macie już sojuszników, a tymi są walczący przeciw alkoholizmowi, walczący o zdrowotność i polepszenie mieszkań robotniczych, propagatorzy kas wzajemnej pomocy itp. Połączcie się z nimi ściślejszym, niż dotychczas węzłem. Wszak wszyscy jesteście bojownikami najszlachetniejszej sprawy, apostołami cywilizacyi i pokoju, wypowiadacie wojnę dwom wielkim plagom ludzkości: nędzy fizycznej i nędzy moralnej. Wobec tych wielkich plag ciemna, nieuświadomiona ludzkość długo stała bezsilna i drżała przed ich grozą. Dopiero wiedza, nauka oświeciła umysły i rozgrzała serca. Wiedza bowiem to słup ognisty, co drogę oświeca i ścieżki toruje. Idźcie więc, idźcie wszyscy naprzód, wy ludzie nauki, a my za wami pójdziemy.“

Po przemówieniu Casimir-Périer'a czternastu delegatów przedstawiło sprawozdania dotyczące walki z gruźlicą w różnych krajach. Najbardziej imponującym był referat dr. Leyden'a, który powiadamiał, że w Niemczech istnieje już 72 ludowe sanatorya, utrzymywane przeważnie przez kasy chorych, w których leczy się rocznie 30,000 pacyentów, a z tych 12% wychodzi zupełnie uzdrowionych a 40% ze znacznem polepszeniem; 74% robotników może rozpocząć pracę po kilku miesiącach na nowo, a 50%—mogło pracować, jeszcze po latach 10-u (te ostatnie jednak dane wydały się wielu nieprawdopodobnemi). Całkiem inaczej wygląda walka przeciw gruźlicy przedsięwzięta już od lat 20 w Austryi, gdzie, jak podaje dr. Schroder, istnieje zaledwie jedno ludowe sanatoryum. Narzekał on na małe względnie zainteresowanie się ogółu tą sprawą i wyrażał nadzieję, że pod wpływem innych krajów zmieni się zapewne dotychczasowa obojętność publiczności. W tymże duchu przemawiał delegat Rosyi — dr. Blumenthal.

Delegaci cudzoziemscy, a zwłaszcza Niemcy, robili ogromny nacisk na konieczność wyszukiwania chorych dotkniętych gruźlicą, zupełnego oddzielenia ich od zdrowych, na przymusową dezynfekcyę i inne środki zapobiegawcze wciągnięte do regulaminów obowiązujących, a delegat Norwegii szczycił się tem, że w jego kraju od r. 1900 istnieje prawo, według którego suchotnicy zmuszeni są do przebywania w szpitalu.

Całkiem odmienny był punkt widzenia przedstawiciela Francyi dr. Brouardel'a, który potrafił postawić walkę przeciw gruźlicy na gruncie bardziej humanitarnym, nie zasklepiając się w formułowaniu nowych paragrafów, ograniczających wolność człowieka, odrywających go od rodziny, pozbawiających pracy zarobkowej, piętnujących niejako na podobieństwo dawnych trędowatych lub zadżumionych. Zwrócił on przedewszystkiem uwagę na konieczność jak najszerszego oświecenia publicz_

---

w zupie... Toć nas zaleje!.. Dalej!.. Żywo!.. Nalegajcie!

Wylękli oryle sami wytężali siły i orali wiosłami, aż wiośliska gięły się w łuk i dulki piszczały żałośnie.

— Aby prędzej, aby prędzej... aby przelecieć strzał rzeki. A tam pod górą wiatr już nie chwyta!.. — pocieszał ich Guran, dzierżąc mocno ster i wypatrując pilnie drogi wśród biegnących naukos fal.

Pani Anna, zamknięta w swej budce, nic nie widziała. Ale skrzyp podrzucanej szkuty, sapanie i krzyki ludzi, ryk bałwanów, świst wiatru, śmiganie wodnej kurzawy, trzepotanie żaglowego obszycia, trwożyły ją niezmiernie. Nadomiar Oleś płakał, a Karski siedział na dnie szkuty, zajęty wyczerpywaniem wody, która szybko napływała z zezy. Utkwiła więc Anna wystraszone oczy w śniadą, skupioną twarz Gurana, szukając w niej pokrzepienia i otuchy. Chłop dostrzegł w przelocie ten wzrok modlitewny, uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł:

— Zaraz, zaraz... Popiły się psiekrwie wczoraj i teraz siły nie mają... Hej, pilnuj!

Ogromny bałwan podniósł wysoko dziób statku, następnie pienistym końcem tak trzasnął w jego buchtę, że wybił wiosła z dulek i nim je zdołano założyć, łódź obróciła się wzdłuż fal. Ze zwycięzkim rechotem poniosły ją, chyląc mocno na bok; jeden jej brzeg już czerpał wodę. Kupcy przestali krzyczeć, Bryłkin grobowym głosem odmawiał modlitwy, inni dzwonili zębami i szlochali. Karski porwał oszołomioną żonę i posadził na krawędzi pomostu. Guran całą mocą porał się z nieposłusznym rudlem...

— Bij, uderz!.. wiosłem!.. prawem!.. trzymaj!.. — krzyczał.

Na przedzie szkuty, wśród skłębionych ciał ludzkich, panował nieopisany zamęt. Wreszcie ponad ramiona, głowy i nogi towarzyszów wynurzyła się silna postać Obucha z wiosłem w ręku. Siadł na ludziach, wiosło na dulkę założył i pociągnął. Łódź wstrząsnęła się, jakby zdziwiona i w pląsach jęła niechętnie nawracać przeciw falom. Cały wypadek trwał ledwie chwil kilka, mimo to wody nabrało się sporo i ociężały statek z trudnością posuwał się przeciw wiatrowi.

— Niema co, trzeba lądować! Do brzegu nie zdołamy!.. — rzekł Guran.

— A ląduj, aby prędzej!.. — krzyczeli nań z dzioba.

Guran ruszył sterem i nim się spostrzegli, fale już dopełniły rozkazu. Łódź wpadła piersią na rozmokłą, ilastą ławicę, ledwie wystającą ponad rozhukane bałwany. Jednocześnie najmłodszy z kupców, Tereszkin, zupełnie nagi wytoczył się z pod płócien jak bomba i pobiegł z obłąkanym rykiem po bagnisku. Ugrzązł jednak niedaleko, w ruchomych piaskach i musieli go oryle na sznurach z urąganiem wyciągać.

— Zabiegliwy—zawczasu z siebie szmaty zrzucił...

— A tłusty taki, że nie wiadomo jak go brać: gdzie głowa — gdzie co?!

— Nie utonąłby, choćby mu kamień do nogi przywiązać... Pływałby, jak bania na kotwi...

Siał deszcz gęsty, drobny, zimny. Wiatr dął. Fale podbiegały pod dno łodzi i podnosiły jej tył wysoko, huśtały nią, ryjąc sztabą muły coraz głębiej. Przystań była niedogodna, ale nie mieli wyboru. Zanieśli daleko na wyspę kotwicę i wdziobnęli ją w piach. Poczem załoga znużona, przeziębła, bez ognia i gorącej strawy ułożyła się jak mogła na dnie statku i przespała pod płachtą smolonego płótna, ukołysana muzyką wiatru i miarowym pluskiem bałwanów.

(C. d. n.)

ności — jak należy wystrzegać się gruźlicy i leczyć ją — przez odpowiednie wykłady w szkołach, koszarach i fabrykach. Dalej zaznaczał potrzebę wzmacniania odporności organizmu, przez jak najliczniejsze wysyłanie dziatwy miejskiej na wieś lub nad morze w porze wakacyjnej, przez zakładanie ogrodów w dzielnicach robotniczych, budowę mieszkań hygienicznych, polepszenie warunków pracy fabrycznej itp. Uważając za podścielisko gruźlicy nędzę, alkoholizm, niezdrowe mieszkania, niedostateczne pożywienie itp. nawoływał do połączenia związku przeciw-gruźliczego z Ligą antialkoholiczną, ze Stowarzyszeniem tanich mieszkań, z Towarzystwami wzajemnej pomocy itp. w celu utworzenia Ligi hygieny społecznej — „Alliance d'hygiène sociale“.

Należy się też spodziewać, że przyszłoroczny kongres przeciw-gruźliczy w Paryżu będzie się różnił od innych zjazdów tego rodzaju i przyniesie jakiś pożytek cierpiącej ludzkości. Nie zadowoli się on chyba wyborem najlepszego modelu spluwaczek, przedstawieniem najskuteczniejszego środka wykrywania suchotników, lecz uchwali, że walka przeciw gruźlicy, jak przeciw alkoholizmowi, musi iść w parze z walką o podniesienie dobrobytu klasy pracującej, o zapewnienie jej należytego pożywienia, dobrego powietrza, wypoczynku oraz zapomogi materyalnej dla rodziny chorego.

W tym też czasie miały miejsce w Paryżu dwa kongresy zawodowe, które z niemałym pożytkiem, choć bez reklamy i rozgłosu, obradowały nad polepszeniem doli pracowników kolejowych i pocztowych.

Francuscy zsyndykowani kolejarze zebrani na XIV-ym dorocznym kongresie obradowali przez cztery dni nad swemi sprawami, nie tracąc sił i czasu na kwestyonowanie mandatów przeciwników politycznych lub wykluczanie ich ze swego grona. Przedewszystkiem postanowili wszelkimi środkami jak najenergiczniej starać się o przyjęcie przez Senat dawno już przez Izbę uchwalonego prawa Berteaux, zapewniającego dzień odpoczynku co 10 dni, dwa tygodnie wakacyj co rok, *maximum* dziennej pracy 10 godzin oraz emeryturę po 20 latach służby bez względu na wiek. Uchwalono też domagać się sądów rozjemczych t. zw. Prud'hommes na podobieństwo robotników fabrycznych, ścisłego przestrzegania odpoczynku niedzielnego na stacyach towarowych, wybierania do najwyższej rady pracy (Conseil Supérieur du Travail) wyłącznie pracowników fachowych a nie ludzi postronnych, organizowania wszędzie komitetów pracy ustanowionych przez prawo. oraz założenia Comité interféderal dla porozumiewania się pomiędzy górnikami, kolejarzami i robotnikami portowymi. Nader charakterystyczne były rozprawy nad założeniem przytułku dla sierot pozostałych po kolejarzach. Wszyscy niemal jednogłośnie—a kolejarze to żywioł najumiarkowańszy we Francyi,— zgadzali się, że koniecznem jest w przeciwstawieniu do obecnych przytułków obskurantyzmu klerykalnego założyć przytułek świecki, gdzieby dzieci pracowników kolejowych mogły się wychowywać na dzielnych i światłych obywateli płci obojej.

Niemal jednocześnie z kongresem kolejarzy odbył się w Paryżu zjazd pracowników poczty, telegrafów i telefonów. Zebrało się 195 delegatów, reprezentujących 17,000 członków. Chociaż podnoszono wiele palących kwestyj, żywo interesujących pocztarzy i telegrafistów, i przyjęto uchwały co do odpoczynku tygodniowego, podwyższenia płacy niektórym kategoryom, ustanowienia większej emerytury, zaprowadzenia hygieny w biurach itp., to jednak nie może on iść w porównanie z kongresem kolejarzy. Chaos, zgiełk, bezład panowały prawie nieustannie, a delegaci opuszczali posiedzenie z niesmakiem i goryczą.

Przyczyna tych niesnasek i niemożności wzajemnego porozumienia się tkwi w tem, że pracownicy poczt i telegrafów nie mają syndykatu robotniczego, jak to ma miejsce w innych zawodach, a jedynie wielkie stowarzyszenie założone przed dwoma laty przez Milleranda p. n. „Alliance générale des agents des postes, télégraphes et téléphones,“ do którego należą wszystkie stopnie hierarchii urzędniczej, nawet szefowie pobierający kilkadziesiąt tysięcy franków rocznej pensyi. Największe oburzenie wywołała wiadomość, że w łonie owego stowarzyszenia, wbrew wszelkim statutom, urzędnicy, mający więcej niż 3,000 fr., utworzyli oddzielne grupy, w celu kierowania całem stowarzyszeniem i odgrywania roli, t. zw. żółtych syndykatów. Pomimo wszystkich usiłowań i przemówień dyrektorów różnych wydziałów uchwalono większością 6,000 głosów rozwiązanie tych grup arystokratycznych, co znów wywołało tak silne niezadowolenie wśród zainteresowanych, że ci założyli natychmiast wyłącznie z wyższych urzędników i urzędniczek całkiem odrębne stowarzyszenie p. n. „Association corporative.“ Samo jednak głosowanie ujawniło, że i niżsi urzędnicy pocztowi rozumieją, iż tylko odrębna organizacya na podobieństwo innych związków zawodowych ma racyę bytu i może przyczynić się do polepszenia ich doli. Pomimo chaotyczności nie można zaprzeczyć, że kongres ten przyniósł niemały pożytek, i przyczynił się do wyjaśnienia wielu kwestyj, a energiczny udział kobiet był dowodem, że i one zaczynają odczuwać potrzebę walki wspólnie ze swymi towarzyszami pracy.

O ile wszystkie zawodowe zjazdy przynoszą pożytek, o tyle głośne kongresy polityczne są zazwyczaj całkiem jałowe, a niekiedy nawet szkodliwie. Oto np. międzynarodowe kongresy w Zürichu, Londynie, Paryżu marnowały czas na odrzucaniu mandatów przeciwników politycznych, na wykluczaniu ludzi niepodpisujących się w zupełności pod „Credo“ kilku szefów, a przyjmowały ryczałtowo bez żadnej dyskusyi uchwały narzucone przez kilka jednostek. Czyż przyczyniają się słowem do postępu ideowego, nie starają się zabić indywidualności w człowieku, czyż nie są podobne do dawnych synodów i soborów kościelnych? A ostatni polityczny kongres kwietniowy w Bordeaux czyż nie był czystą komedyą, gorzkiem naigrawaniem się z praw większości? Wszak 25 federacyj departamentalnych z ogólnej liczby 39-u żądało wykluczenia Milleranda za jego wsteczne głosowania i większość wybranej specyalnie na kongresie komisyi (19 przeciw 16-u) żądała również wykluczenia? A przecież dzięki przebiegłej dyalektyce Jaurès'a, osławionego trybuna, nie wyrażono nawet nagany Millerand'owi?....

Dr. Józef Zieliński.

Opieka nad pracującemi dziećmi.

Niemcy postawiły nowy i ważny krok w rozwoju prawodawstwa ochronnego pracy. Po gruntownej dyskusyi parlament uchwalił, a cesarz zatwierdził, wypracowany przez radę związkową, projekt nowego prawa, dotyczącego pracy dzieci w zakładach rzemieślniczych. Dotychczasowe prawodawstwo fabryczne obejmowało właśnie tylko fabryki, czyli przedsiebiorstwa, zatrudniające więcej niż dwudziestu robotników, albo też używające stale motoru mechanicznego. W warsztatach rzemieślniczych i w pracowniach domowych wyzysk dzieci był dotychczas zupełnie nieograniczony — a pracowało ich tam i pracuje około 150,000. Kto sobie choć trochę zdaje sprawę z tego, czem jest praca dziecka, nieposiadającego żadnej siły opornej, w drobnym warsztacie bezwzględnego, często ciemnego, konkurencyą zagrożonego i rozgoryczonego rzemieślnika, albo w pracowni domowej, gdzie rodzice lub opiekunowie, zmuszeni pracować do późna w noc, w najokropniejszych warunkach hygienicznych, aby zarobić z trudem na suchy kawałek chleba, mimowoli wyzyskują dzieci, zaprzęgając je do tej samej pracy, bez zastanowienia się nad szkodą, jaką tem zdrowiu i przyszłości dziecka przynoszą, niezdolni wyrzec się dobrowolnie jego pomocy, ten zrozumie, dlaczego wszyscy ludzie, dbający o przyszłość społeczeństwa, a w pierwszym rzędzie nauczyciele elementarni z dzielnym Konradem Agahdem z Rixdorfu na czele, od dawna domagali się interwencyi państwa, mogącej okropne te stosunki choć trochę poprawić. Owocem tego nacisku opinii publicznej jest właśnie prawo kwietniowe.

Dotyczy ono wszystkich dzieci obojga płci do lat 13, a powyżej tego wieku tych, które jeszcze obowiązane są chodzić do szkoły ludowej. Rozróżnia dzieci cudze i własne. Za własne uważane są te, które z jednem z małżonków, zatrudniających je, spokrewnione są aż do trzeciego stopnia, adoptowane lub też znajdują się pod opieką prawną. Przepisy prawa są łagodniejsze tam, gdzie idzie o dzieci własne; jednakowoż tak własnych, jak cudzych, dotyczy absolutny zakaz zatrudniania w kopalniach i kamieniołomach, które nie były dotychczas objęte takim samym zakazem prawa fabrycznego (mniej niż 20 robotników), w cegielniach, przy wszelkich robotach budowlanych, w warsztatach szyfrowych, kamieniarskich (któż nie pamięta małego kamieniarza z „Promienia“ Żeromskiego i grożącej mu ślepoty od odpadków kamienia?..), wapniarniach, warsztatach garncarskich, wszelkich gdzie się szkło wydyma, szlifuje, wyżera, rtęć na zwierciadło nakłada, gdzie się pozłaca, posrebrza itd. galwanoplastyką, gdzie się zabawki pociąga farbami olowianemi lub cynkowemi, metale odlewa, szlifuje lub poleruje; w warsztatach bronzowniczych, rymarskich; tych, gdzie się wyrabia materyały zapalne lub wybuchowe, albo używa tych ostatnich; w chemicznych bielarniach tkanin, pralniach, farbiarniach, w sortowniach gałganów; u oprawców zwierząt; w garbarniach, białoskórniach, przy fabrykacyi towarów gumowych, gutaperkowych, kauczukowych, przy fabrykacyi materaców i przerabianiu włosia wogóle, we wszelkich szczotkarniach; również przy fabrykacyi towarów z macicy perłowej; u malarzy, u rzeźników. Długa lista, którą rada związkowa ma upoważnienie rozszerzać i dopełniać w miarę potrzeby — lista tych zawodów, gdzie młodemu, delikatnemu organizmowi grożą szczególniejsze niebezpieczeństwa. Należą do niej również te rzemiosła, których warsztaty znajdują się w piwnicy czy suterenie; należy nawet — kominiarstwo! Znika więc w prozaicznych Niemczech wesoły kominiarczyk-murzynek — zaprawdę, biały murzynek! — ale zato cała kategorya dzieci uratowana zostaje od zanieczyszczania sobie płuc — wdychaną sadzą.

We wszystkich innych warsztatach i pracowniach — *do lat 12 niewolno zatrudniać dzieci cudzych wcale.* Do lat 12 więc żadne dziecko niemieckie (no, i polskie, duńskie, francuskie, oczywiście w odnośnych prowincyach) od 1 stycznia 1904 r., daty wejścia w życie tego prawa, nie będzie podlegało surowej dyscyplinie majstra, nie będzie przedwcześnie zwężało sobie klatki piersiowej u szewca, wdychało szkodliwych woni u stolarza, wogóle — odrywało drogocennych sił i uwagi od normalnego rozwoju umysłowego i fizycznego. Tak be-

dzie przynajmniej w mieście... Co do dzieci własnych, to zrobiono rodzicom, zmuszonym zaprzęgać się do pracy dla osób obcych, czyli do pracy zarobkowej, to ustępstwo, że już od skończenia lat 10 wolno je zatrudniać (jeżeli rodzice nie pracują dla osób trzecich, czyli za zapłatę, to prawo niniejsze wcale nie wtrąca się do tego, w jaki sposób każą dzieciom pracować w domu — wychodząc z tej przeważnie słusznej zasady, że wówczas niema najważniejszej, niemal jedynej pobudki do wyzysku pracy dzieci). Ale nie należy przypuszczać, żeby dzieci cudze po 12 latach, własne po 10, były już zupełnie wydane na łup wyzysku; nie — stosuje się do nich wszystkich zupełny zakaz pracy nocnej, czyli między godziną 8 wieczorem a 8 rano, dalej, mogą one pracować najwyżej 3 godziny dziennie, a podczas wakacyj szkolnych — 4, i to nigdy przed pójściem do szkoły, żeby już w szkole nie były zmęczone, i nie wcześniej, niż w godzinę po powrocie ze szkoły. O południu muszą mieć dwie godziny wolne.

W ten sposób te 3 godziny pracy zarobkowej dziecka 12-letniego lub 10-letniego, nawet dodane do godzin szkolnych, już go tak dalece nie zmęczą, nie przeciążą i dalszemu rozwojowi nie zaszkodzą.

Druga różnica, którą prawo robi między dziećmi własnemi a cudzemi, polega na tem, że kto chce zatrudniać dzieci cudze, musi uprzednio zawiadomić o tem inspekcyę i dla każdego dziecka mieć kartę, wydawaną przez gminę na żądanie jego rodziców lub opiekunów, a zawierającą przedewszystkiem datę urodzenia. Jest to niezbędny warunek kontroli, którą wykonywa inspekcya fabryczna, z tem jedynem ograniczeniem, mającem na celu niezakłócanie życia rodzinnego, że w mieszkaniach prywatnych, gdzie zatrudnione są wyłącznie dzieci własne, rewizyę w nocy wolno robić tylko w takim wypadku, jeśli jest, faktami uzasadnione, podejrzenie łamania zakazu pracy nocnej dzieci. Zresztą — nawet pracownie domowe podpadają odtąd inspekcyi fabrycznej, chociażby dana izba nie była specyalnie przeznaczona na pracownię; nawet kuchnia i sypialnia, jeśli w niej jednocześnie odbywa się praca dla osób obcych, uważana jest przez prawo za warsztat.

Dalej, zakazuje jeszcze prawo zatrudniania dzieci do lat 13, tak cudzych, jak własnych, na przedstawieniach publicznych, teatralnych, cyrkowych itd., wyjąwszy w tych wypadkach, „gdzie zachodzi wyższy interes sztuki,“ a więc należy przypuszczać tylko dla teatru poważnego; wtedy miejscowa władza administracyjna może udzielić pozwolenia, ale dopiero po zasięgnięciu zdania władzy szkolnej. Jaka ważna zasada jest tu uznana: władza szkolna ma przedewszystkiem prawo wypowiedzieć zdanie o tem, czy dane dziecko może występować na scenie! — Co do karkołomnych tortur cyrkowych, można zatem mieć nadzieję, że dzieci w Niemczech zostały od nich uwolnione!

Dalej, w szynkowniach, gospodach i restauracyach niewolno zatrudniać dzieci do lat 12, a dziewczynek (do lat 13) niewolno wcale używać do usługiwania gościom. Stosuje się to do dzieci cudzych i własnych, ale co do tych ostatnich władza administracyjna, znów po wysłuchaniu opinii nauczyciela, może pozwalać na wyjątki w miejscowościach, mających mniej niż 20,000 mieszkańców, to znaczy po wsiach, miasteczkach i małych miastach. Widocznie prawodawca przypuszcza, że tam mniejsze jest niebezpieczeństwo demoralizacyi i wyzysku pracy dzieci. Czy słusznie? — Wątpimy.

Przepisy, ograniczające długość i rozkład pracy dzieci — cudzych i własnych — stosują się również do posyłania ich z towarami, gazetami, mlekiem itd.

Kary za naruszenie tego prawa posuwają się od 20 marek grzywny aż do półrocznego więzienia, łagodniejsze są dla rodziców, surowsze dla pracodawców obcych.

To prawo ma też swoje braki; tak np. cofa się ono zupełnie przed pracą dzieci w rolnictwie, na wsi — jak wogóle cofa się przed rolnictwem przeważnie całe współczesne prawodawstwo ochronne pracy... Nie obejmuje ono również służby domowej, gdzie dzieci jeszcze często strasznie bywają wyzyskiwane. Przypomina mi się nowela Czechowa o małej niańce, co służyła u majstra „do wszystkiego“ i z przedłużonej bezsenności — musiała przecie kołysać i nosić dzieciaka — w przystępie obłędu dusi krzykliwe maleństwo... Szkodliwemi mogą się też okazać ulgi, porobione osobom zatrudniającym dzieci własne, w porównaniu do tych, które zatrudniają dzieci cudze; mogą one mianowicie spowodować zamknięcie warsztatów, a natomiast oddawanie pracy przez tych samych przedsiebiorców rodzicom do domu, gdzie te same dzieci będą ją wykonywały już pod mniejszą kontrolą. Ale pomimo to wszystko nowe prawo jest, powtarzamy, ogromnym, godnym naśladowania krokiem naprzód i ma wielkie znaczenie zasadnicze: państwo, jako organizacya kultury, a nie tylko panowania, rozciąga tu swą kontrolę nad rzemiosłem, które, choć przesycone wyzyskiem, umiało dotąd przeważnie wymykać się przed prawodawstwem ochronnem pracy — a co ważniejsze jeszcze, nad rodziną, o ile w niej odbywa się produkcya towarowa, ten potwór, pochłaniający siły dziecinne. Może będzie to pierwszy krok na drodze do tak trudnego, skomplikowanego, lecz niezbędnego uregulowania i ograniczenia osławionej fabrykacyi domowej. Wszystko to jeszcze przed 15 laty byłoby absolutnie niemożliwe!

K. Krauz.

FEJLETON.

VERBUM NOBILE.

Górny Śląsk.

Od pewnego czasu publiczność nasza poczyna z napiętą uwagą śledzić sprawy Górnego Śląska. Gdy Galicya daje ustawiczny temat do sporów a Poznańskie do skarg, o Górnym Śląsku poczyna się mówić, jak o ukochanem, najmłodszem dziecięciu, któremu się należy szczególna opieka. Publiczność idzie tu może bezwiednie za dobrym instynktem. Dziennikarstwo zarzuca nas wiadomościami z dziedziny polityki, podaje nam wszystkie szczegóły o układzie stronnictw, o rwącym się stosunku do Centrum, o kandydatach na posłów. To są czasowe objawy ukrytych głębiej przyczyn. Zbadajmy te przyczyny. Zdajmy sobie dokładnie sprawę ze stanowiska dziejowego, jakie zajął Górny Śląsk, z warunków, w jakich się rozwija; co mu grozi a co mu wróży dobrą przyszłość; jakimi środkami rozporządza a jakich mu brak. Czem on jest w porównaniu do innych dzielnic, na czem polega siła, jeżeli ją ma.

„Lud górnośląski, od wieków oderwany od pnia macierzystego, w ostatnich lat dziesiątkach przychodzi coraz bardziej do uświadomienia narodowego, do poczucia swej odrębności narodowej. Ruch ten zatacza coraz poważniejsze kręgi i już dziś w szeregach przeciwników niemieckich wywołuje popłoch i bezradność.“

Oto wstępne słowa odezwy Polskiego Towarzystwa Wyborczego na Śląsku. Słowa te są zwięzłem a prawdziwem ujęciem stanu rzeczy; są one rzetelną sumą faktów, które się działy w przeciągu ostatnich lat trzydziestu.

Górny Śląsk spał przez ośm wieków. Tak, przez ośm stuleci ludność polska na Górnym Śląsku była jakiemś plemieniem tubylców, które w ogólnym ruchu kulturalnym nie brało żadnego udziału. Ale konstytucya pruska nie lubi ugorów, nie chce ani jednego kawałka gleby swej pozostawić bez uprawy. Wzięła się tedy także do Górnego Śląska i poczęła go kulturalnie uprawiać. Zaledwie jednak poruszyła ziemię, kiedy nagle poczęły w niej kiełkować jakieś ukryte ziarna, a z nastaniem wiosennych warunków cały ten szmat ziemi pokrył się zielenią, która w najwyższym stopniu zadziwiła oczy pruskie.

Dziś potęgą kulturalną jest powszechne czytelnictwo. Niemiec, wprowadzając przymus szkolny, nauczył Górnoślązaka czytać. Ten fakt zdecydował o wszystkiem. Górnoślązak nauczył się wprawdzie czytać w szkole po niemiecku, ale z chwilą, kiedy się w ogóle czytać nauczył, mogła do niego przystąpić jakaś polska gazeta górnośląska, która mu powiedziała to, czego mu nie powiedział Niemiec.

I tu raz jeszcze odniósł kulturalne zwycięztwo stary Gutenberg, któremu narody słowiańskie, walczące z plemieniem giermańskiem, powinny pomnik postawić. Czytelnictwo na Górnym Śląsku obudziło półtoramilionową ludność ze snu wiekowego, zrodziło w tem dziecku nawskroś polskiem poczucie odrębności narodowej. Dziecko to zbudziło się w warunkach trudnych, niańką jego była szwabizna, ale przecież mogło ono niebawem wyjść z kołyski, nad którą rozlegała się teutońska kołysanka: „Deutschland ueber alles,“ i spróbować chodzić o własnych siłach.

Jak tedy wyglądają owe własne siły?

Pod tym względem Górny Śląsk nie znajduje się bynajmniej w warunkach trudnych, ale w nadzwyczaj korzystnych. Dzielnica ta posiada tylko jedną klasę społeczną, lud. Nie posiada natomiast ani szlachty, ani mieszczaństwa. Kiedy w Galicyi wre zacięta walka pomiędzy panem a chłopem, Śląsk polskiej walki klas poprostu nie posiada. A więc pod tym względem ma zadanie niezmiernie uproszczone. Jest to niesłychanie ważna okoliczność dla szczęśliwego rozwoju odrębności narodowej, gdyż nie mogą jej mącić wewnętrzne rozterki. Inteligencya i mieszczaństwo wyradza się z dołu i ma na sobie wszystkie cechy swej ludowej genezy. Nie może tu istnieć zamęt także w dziedzinie tradycyi historycznej, tak różnie pojmowanej przez różne klasy społeczne. Górnośląska jednolitość jest warunkiem nadzwyczajnym, a w dodatku takim, że zyskuje sympatyę nawet takich klas innych dzielnic, gdzie zwykło się na to lub owo patrzeć zasadniczo inaczej.

Następnie inna ważna i to bardzo ważna okoliczność. Poznańskie, powiedzmy nawskroś katolickie Poznańskie, jest ze wszystkich stron otoczone morzem niemieckiego protestantyzmu, który, szczególniej tam, traktuje religię bardzo lekko, wyznaje ją urzędowo, ale prywatnie jest niemal ateistyczny. Kto zna dobrze niemieckie mieszczaństwo i ziemiaństwo tamtych okolic, ten to bezwarunkowo potwierdzi. Wobec tego Poznańskie zamknęło się jeszcze bardziej w katolicyzmie i religijności, widząc w tem przedmurze swej odrębności. Taki stan rzeczy prowadzi z jednej strony do niesłychanego klerykalizmu, a z drugiej — do kulturalnego wstecznictwa. Tem się też tłomaczy, że Poznańskie albo wcale nie wydaje ludzi, biorących udział w naszem życiu umysłowem, albo też ludzie ci muszą uciekać do Galicyi lub do nas, gdyż tam nic zrobić nie mogą.

Natomiast Górny Śląsk znajduje się w położeniu bez porównania szczęśliwszem. Oblewające go ze wszystkich stron morze niemieckie jest katolickie, ksiądz występuje przeważnie jako germanizator, hamuje zapędy narodowe, a często nawet występuje względem narodowości wrogo. Więc dla Górnoślązaka kościół i narodowość nie jest czemś identycznem, Górnoślązak nie patrzy na sprawy narodowe przez szkiełka klerykalizmu, choć jest niezmiernie pobożny. Łaknie on tedy wiedzy, nie lęka się jej: klerykalizm nie odstrasza go od niej, ksiądz nie jest dla niego ostatnią wyrocznią, gdyż on z tym księdzem musi walczyć często o rzeczy najdroższe. Ksiądz każe mu się modlić w kościele z modlitewników niemieckich, lud domaga się modlitewników polskich; na wiecach lud daje upust swemu uczuciu narodowemu, ksiądz ciągnie go za rękaw. Lud przedstawia ów pierwiastek gorący, przepełniony świeżem uczuciem, pierwiastek prometejski; ksiądz przeciwstawia mu się jako pierwiastek rozwagi, jako hamulec, jako sofista prawny, jako kubeł zimnej wody, wylanej na rozpalone żelazo; stąd tyle syku, zgrzytu i pary.

Następnie pod względem fizycznym i psychicznym lud górnośląski przedstawia się imponująco. Rosły, silny, krzepki, zdrowy, o ile nie jest zbytnio wycieńczony przez pracę fabryczną i kopalnianą, stanowi on plemię bardziej żywotne od galicyjskiego. Posiada charakter łagodny, ale ogromnie stały, ogromnie wytrwały, ogromnie równy. Nie jest on skłonny do marzycielstwa, do pojęć utopijnych, całą swoją psychiką trzyma się ziemi, trzyma się rzeczywistości. Dowodzą tego jego legendy, jego pieśni, w których zjawia się nawet pierwiastek tragicznej ballady angielskiej, choć tu studyum jest trudne, gdyż przymieszało się wiele czynników pieśniarskich z dzielnic innych, znajdujemy wiele naleciałości, ale przetrawionych gruntownie, przystosowanych do życia miejscowego.

A wreszcie prawdziwym skarbem dla polskości jest gwara górnośląska. Twierdzenie to prawdopodobnie zadziwi niejednego. Ale strzeżmy się pozorów, aby one nie mąciły nam sądu o istocie rzeczy. Gwara górnośląska jest z wszystkich dyalektów ludu naszego najbardziej zanieczyszczona przez domieszki obce, przez germanizmy. Ale to kwestya czasu. Skoro się na Górnym Śląsku polskość wydobędzie z powijaków niemieckich, skoro prócz ruchu politycznego powstanie ruch umysłowy, zrodzi się cywilizacyjna dążność do oczyszczenia języka, wtedy ujrzymy w gwarze górnośląskiej prawdziwy klejnot przepięknej, starej polszczyzny, ujrzymy spiżowy język szesnastego wieku, wieku złotego, przepiękny, majestatyczny język Kochanowskich, pełen ogromnej powagi, zasobny w pierwiastki rozwojowe, jednem słowem język, który dla wszystkich dzielnic polskich będzie bardzo ważny. Ochraniać mowę górnośląską, pracować nad nią, oczyszczać ją, to znaczy strzedz źródła prastarego a żywego, to znaczy odkopać antyk drogocenny, który jest antykiem tylko ze względu na swą dziejową dawność, ale żyje, będzie się rozwijał i nas jeszcze, nas modnych ludzi, zasilić może. Język ten posiada bowiem niesłychane piętno polskości. Dziś Górnoślązak woła do nas z płaczem: „wy, z innych dzielnic, mówicie jak królowie!“ Nie, Górnoślązaku, to ty mówisz jak król, tylko zszedłeś na nędzarza, który osłania dziś swą nagość łachmanami niemieckiemi. Ale gdy zdejmiesz te łachmany, a zdejmiesz je prędko już, okażesz się w całej swojej królewskości, która inne, dziś pod tym względem szczęśliwsze dzielnice, poprostu wprawi w zdumienie.

Górnoślązak czuje dziś już całkowicie swą odrębność. Ale czuje także, że niezmiernie mało pierwiastków podsyca tę odrębność. Kocha on swój język, ale w głębi duszy boleje, że on, w porównaniu z ucywilizowaną niemczyzną, jest taki łachmanny, taki nędzny. Łaknie lud ten wiedzy podanej mu po polsku; ale w głębi duszy korzy się przed tytaniczną wiedzą niemiecką, która go oślepia swą wielkością i potęgą. Odcięty od pnia wspólnego, jak słusznie twierdzi „Polskie Towarzystwo wyborcze,“ nie ma on pojęcia o całym polskim dorobku cywilizacyjnym. Wodzowie jego na Górnym Śląsku są tak pogrążeni w walce politycznej, w programach odnośnych walk, agitacyi, wyborach itp., że o polskiej robocie kulturalnej poprostu myśleć nie mogą. Wybory, odsiadywanie kozy, roztrząsanie nowych zagadnień politycznych, znowu odsiadywanie kozy, wiece, walka z centrum, walka z nowym związkiem antypolskim górnośląskich nababów, nowe odsiadywanie kozy — oto treść tego gorączkowego życia, które na żadne nowe rzeczy nie pozostawia ani jednej chwilki czasu. Tą potężną resztą, jaka jest do zrobienia, powinien się zająć kto inny. Ta reszta, to bynajmniej nie jakaś walka z tem, co się na Górnym Śląsku robi, ale wspomożenie tej walki, zgromadzenie potężnych zasobów, wzmożenie sił, usunięcie różnych przeszkód. Na Górny Śląsk należy skierować cały nasz dorobek piśmienniczy z dziedziny beletrystyki i wiedzy popularnej. Wtedy Górnoślązak otrzyma silne uzbrojenie polskie do walki z niemczyzną; wtedy nie będzie bolał, że ten język polski jest taki łachmanny, a język niemiecki taki pański; wtedy nie będzie go upokarzała wiedza germańska, bo pozna swoją własną, bo będzie nią rozporządzał; wtedy przestanie się on uważać za jednostkę kulturalnie niższą od Niemca; wtedy oprze się na silnej podstawie; wtedy się przekona, że odrębność jego, którą tylko czuł, jest oparta na podstawach rzeczowych; wtedy nie będzie tej odrębności tylko czuł, ale będzie o niej także wiedział.

Jeżeli tymi torami potoczą się sprawy Górnego Śląska, to łatwo przewidzieć, że dzielnica ta stanie się niebawem placówką tak ważną, że na nią pocznie obracać oczy Poznańskie, że pocznie się na niej wzorować. Są to kwestye bardzo niedalekiej przyszłości. Publiczność nasza, jak to zauważyliśmy na wstępie, czuje to instynktownie. Ale owo czucie instynktowne trzeba zamienić na jasne uświadomienie. Albowiem z podobnych poczuć rodzą się tylko odruchy, a natomiast z jasnego uświadomienia nie odruchy, ale ruchy prawidłowe, ściśle odmierzone i nadzwyczaj pewne.

Andrzej Niemojewski.

BADANIA NAUKOWE.

Pochodzenie życia na ziemi.

Do najciekawszych zagadnień biologii teoretycznej należy niewątpliwie kwestya pochodzenia organizmów na ziemi. Zajmowano się nią od najdawniejszych czasów. Jednakże dopiero z utrwaleniem się w nauce teoryi ewolucyjnej, tak zaszczytnie związanej z imieniem K. Darwina, roztrząsanie jej mogło wstąpić na tory ściśle naukowe: przedtem obracała się ona w sferze najniedorzeczniejszych — z dzisiejszego punktu widzenia — zabawnych mytów i opowieści, które zawsze tem się odznaczały, że wszystkie, nawet najwyżej uorganizowane istoty wywodziły z natury martwej.

Dziś pochodzenie organizmów wyższych, tak zwierzęcych, jak i roślinnych, tłomaczy nam teorya ewolucyjna, budująca niezmiernie złożone drzewo genealogiczne zwierząt i roślin. Rozglądając się w budowie tego drzewa, we wzajemnym układzie jego konarów, gałęzi i gałązek, wyjaśniamy sobie dość wyraźnie całą historyę rozwoju życia organicznego na ziemi; wyobrażamy, jak to w ciągu długich, bo zapewne na miliony lat liczących się — okresów geologicznych, jedne rodzaje dawały początek innym, jak z jednego typu wytwarzał się inny. Ulegając argumentacyi niezliczonych faktów, zdobytych przez anatomię porównawczą, embryologię i paleontologię, nie widzimy w tem nic nadzwyczajnego, że z kolonij istot jednokomórkowych rozwinęły się niegdyś organizmy jamochłonne, z tych — robaki, z robaków—kręgowce, te zaś, osiągnęły najwyższy stopień swego udoskonalenia w ssakach. Wszystkie te wywody ewolucyjne o tyle są dla biologów jasne i niepodlegające żadnym wątpliwościom, o ile zmienność organizmów uważana jest za dowiedzioną i rozciągającą się na wszystkie formy żyjące. Co zaś do tego punktu, to nikt z poważniejszych przyrodników zmienności organizmów nie podaje dziś w wątpliwość: podlegają jej wszystkie ciała we wszechświecie, tak żywe, jak i martwe — z wyjątkiem może mózgu tych „filozofów,“ którzy w konserwatyzmie swoim zmienności w naturze nie widzą... Pochodzenie więc wszystkich organizmów wyższych, tak zwierzęcych, jak i roślinnych, jest dla nas obecnie dość zrozumiałe, i nie o nich zresztą chcę teraz mówić.

Skąd się wzięły te najniżej uorganizowane istoty, które, podług teoryi ewolucyjnej, dały początek wszystkim organizmom wyższym? W jakich warunkach zjawiły się na naszym globie pierwsze twory „jednokomórkowe“? I czy one to były owemi domniemanemi prarodzicielkami „wszego stworzenia,“ czy też może poprzedziły je ciała żyjące, a zatem wykazujące zdolność do odżywiania się i rozmnażania, a posiadające budowę jeszcze prostszą i bardziej drobnych wymiarów?

Oczywiście kwestya, czy istoty „jednokomórkowe“ o bardzo uproszczonej budowie, jak np. ameba są i były *najprostszemi*, a pod względem chronologicznym pierwszemi ciałami żyjącemi, długo jeszcze prawdopodobnie pozostawać będzie w sferze bardzo ciemnych przypuszczeń i dowolnych hypotez, w które tu wchodzić nie będziemy. Nam idzie o to tylko, w jakich warunkach fizycznych zjawić się mogły na ziemi pierwsze ciała żyjące — wszystko jedno, czy w postaci komórek, czy istot jeszcze znacznie prostszych, w rodzaju *granul* Altmana, bakteryj, lub cząstek białkowych „uorganizowanych.“

Otóż istnieje kilka co do tego teoryj — ściśle harmonizujących z jednej strony z wymaganiami fizyologii ogólnej, a z drugiej — z hypotezami geologicznemi.

Najnaturalniejszym i z logicznego punktu widzenia najprostszym — zdawałoby się — sposobem rozwiązania, obchodzącej nas kwestyi, byłoby uznanie t. zw. samorództwa. Ta hypoteza nietylko w starożytnych, lecz i w nowszych czasach uważana była za najprawdziwszą. Wierzono mianowicie, że w jakiś niewyjaśniony sposób w środowisku martwem, np. w mule, w wodzie nieczystej układają się pewne warunki, w których niektóre pierwiastki łączą się chemicznie z sobą, wytwarzają ciała białkowe; utrzymywano, że na drodze samorództwa powstają nietylko najniższe, drobnowidzowe, lecz i wyższe organizmy. Hypoteza ta była powszechną do XVIII stulecia. Od tego czasu przywilej samorództwa pozostaje wyłącznie własnością pasorzytów, zamieszkujących inne organizmy (t. zw. wnętrzniaków), a to dla tej prostej przyczyny, że zbadanie powstawania tych istot, odbywającego się w głębi ciała ludzkiego, związane jest z wielkiemi

trudnościami. Z czasem jednak samorództwo pasorzytów wyższych (robaków) zostało na drodze ścisłych badań z nauki usunięte; dowiedziono w niezbity sposób, że wszystkie one powstawać mogą bądź z jaj, bądź żyworodnie, lecz zawsze od organizmów rodzicielskich (omne vivum ex vivo). Najdłużej opierały się badaniom doświadczalnym organizmy niższe — bakterye. Lecz wkrótce, dzięki pracom Pasteura, Puchet'a i innych dowiedzionem zostało, że i tu zasada „omne vivum e vivo" jest słuszną: w płynach lub innych środowiskach wyjałowionych, tj. pozbawionych t. zw. zarodników, fizyologicznie odpowiadających jajom i nasionom organizmów wyższych, bakterye w żaden sposób powstać nie mogą. Wszystkie te zdobycze naukowe usuwają wszelkie przypuszczenie co do możliwości samorództwa w dobie dzisiejszej i w warunkach badaniom naszym dostępnych; nie usuwają jednak prawdopodobieństwa, że w innych warunkach i w innym czasie takie wytwarzanie się ciał żywych z materyi martwej jest możliwe. Haeckel np. utrzymywał, że zjawisko to zachodzi w wielkich głębinach na dnie morskiem, a powoływał się na obserwacye Thomsona, Huxley'a, którzy mieli zauważyć na dnie Atlantyku szczególną masę śluzowatą, wyglądem zewnętrznym przypominającą zaródź, czyli protoplazmę (Bathybius).

Hypoteza ta jednak straciła swą wartość od czasu, jak Moebius dowiódł, że ów śluz nie wykazuje żadnych objawów życiowych i otrzymanym być może przez dolewanie spirytusu do wody morskiej, przyczem wytwarza się osad soli gipsowych.

Wobec wyników ujemnych wszystkich doświadczeń i obserwacyj, dążących do wykrycia samorództwa w warunkach dla nas dostępnych, powstała inna hypoteza, dyskretnie starająca się ominąć tę tak trudną do rozwiązania kwestyę. Mianowicie Richter w r. 1865, a następnie Helmholtz (1884) wypowiedzieli przypuszczenie, że ciała, żyjące na globie naszym, *wcale nie powstawały*, lecz zostały tu przeniesione z innych planet za pośrednictwem meteorów. Zarzut, że meteory podczas swego szybkiego ruchu w przestworzach międzyplanetarnych rozpalają się do niezmiernie wysokiej temperatury, wskutek czego ukryte w nich zarodniki czy „zarodki" protoplazmy, jako ciała białkowe ulegałyby nietylko zabiciu, lecz nawet całkowitemu spaleniu, wymienieni rzecznicy omawianej hypotezy starają się osłabić twierdzeniem, że przecież w niektórych meteorytach wykrywano węgiel, a jeżeli węgiel mógł dostać się na naszą planetę, nie ulegając spaleniu, to jest rzeczą możliwą, że i „zarodki" podczas takich międzyplanetarnych „przenosin" własności życiowych nie tracą. Helmholtz dowodzi w obronie hypotezy Richtera, że meteory podczas swego ruchu rozpalają się tylko na powierzchni, wnętrze ich zaś posiada temperaturę tak nizką, że związki organiczne mogą się tam zachować w całości.

Ta hypoteza kwestyi pochodzenia ciał uorganizowanych z natury martwej nie rozwiązuje wcale, lecz przenosi gdzieindziej, odsuwając ją na planety. Zresztą Richter jest wyznawcą t. zw. wieczności ciał żyjących; utrzymuje on, że gdzieś tam w otchłaniach wszechświata istniały po wieczne czasy organizmy w postaci komórek, które za pośrednictwem kataklizmowych kamieni meteorytowych są przenoszone z jednej planety na drugą. „Nic mogę oponować — powiada Helmholtz — jeśli ktoś będzie uważał tę hypotezę za zupełnie niemożliwą lub nieprawdopodobną. Wobec jednak niepowodzenia tych prób, które miały otrzymać organizmy z materyi martwej, uważam za rzecz naukową postawienie pytania, czy wogóle życie kiedykolwiek *powstało*, czy nie jest ono równie stare, jak i sama materya i czy jego zarodki, przenoszone z jednego ciała niebieskiego na drugie, nie podległy *rozwojowi* tam, gdzie znalazły odpowiednie środowisko dla siebie. Jest to niewątpliwie bardzo wyraźna alternatywa: życie organiczne bądź wzięło swój początek w czasie, bądź istnieje wiecznie."

W innem świetle i w innej formie wyobraża wiekuistość życia teorya W. Preyer'a („Die Hypothesen über den Ursprung des Lebens," 1880). Preyer przedewszystkiem dla pojęcia o życiu zakreśla daleko szersze granice, niż to zostało przyjętem przez ogół biologów. Organizmem nazywa on wszystko to, w czem odbywa się bardzo energiczna przemiana energii; zatem podług niego wszystkie cechy zasadnicze organizmu żyjącego posiadała i nasza ziemia w zaraniu swego istnienia, w tym okresie pierwotnym, kiedy stanowiła jedną olbrzymią kroplę ognisto-płynną. „Jeżeli — powiada Preyer — pozbędziemy się tego dowolnego i na niczem w istocie rzeczy nieopartego twierdzenia, że żyć może tylko protoplazma ze swemi obecnemi własnościami, oraz owego dla pewnych kombinacyj teoretycznych ogólnie przyjętego wyobrażenia, że chronologicznie starszą jest natura martwa, w takim razie śmiało w tym względzie zrobić możemy jeszcze jeden krok naprzód i, odrzucając samorództwo uznać wiekuistość *ruchu życiowego*. Omne vivum e vivo!"

Rozumując w ten sposób Preyer maluje następujący obraz pochodzenia życia na ziemi. Pierwotnie cała ognisto płynna masa ziemi stanowiła jeden olbrzymi organizm. Życie jego polegało na tym energicznym ruchu, w którym pozostawały jego cząstki. Z czasem jednak, kiedy owa „żywa" ziemia zaczęła stygnąć, pewne części jej organizmu, mianowicie metale ciężkie, nie mając już odpowiednio wysokiej temperatury by pozostawać w stanie płynnym, wydzieliły się w postaci stałej masy i nie biorąc już udziału w objawach „życiowych", utworzyły ciała martwe nieorganiczne. W ten sposób powstały pierwsze ciała nieorganiczne. W miarę dalszego ochładzania się, ziemia zaczęła zamierać i na swej powierzchni; martwa jej część zewnętrzna utworzyła skorupę ziemską, zbudowaną z ciał stałych, nieruchomych. Kiedy skorupa ta wreszcie na tyle ostygła, że woda, która dotychczas pozostawała w stanie pary i unosiła się wyłącznie w atmosferze, uległa skropleniu i utworzyła pierwotny ocean powszechny, wtedy powstały pewne związki chemiczne, stopniowo coraz bardziej zbliżające się do protoplazmy, podłoża życia dzisiejszego. Podłoże to, utworzone z pierwiastków niezmiernie ruchliwych (pary wodnej, kwasu węglowego, azotu i in.) odziedziczyło i przechowało te cechy, które stanowić mają istotę życia: zdolność do przemiany energii. Wszystko więc to, co dziś zaliczamy do ciał mineralnych, podług tej teoryi ma być świadectwem, szczątkami życia gasnącego skutkiem utraty ruchu, życia tych „organizmów olbrzymich, które oddychały być może świecącą parą żelaza, w których, jak krew krążyły roztopione metale, i które żywiły się meteorytami." Podług więc Preyera nie organizmy powstały z natury martwej, lecz odwrotnie — ciała mineralne pochodzą od organizmów żywych.

Oczywiście główną zaletą tej teoryi jest jej fantastyczność, wadą zaś — nieliczenie się z ustalonem pojęciem o organizmach, które zawsze i wszędzie są ciałami białkowemi, i obok różnorodnych przeistoczeń energii widownią niezbędnej przemiany materyi.

Najbardziej wreszcie naukową, bo opartą na ścisłych danych fizyologicznych i chemicznych jest teorya o pochodzeniu ciał uorganizowanych Pflügera („Ueber die Physiologische Verbrennung in den lebendigen Organismen," 1875). Podstawą wszystkich rozumowań Pflügera jest ta okoliczność, że podług pewnych rozważań chemicznych związki białkowe żywe tem się przedewszystkiem różnią od białka martwego, że w składzie swych cząsteczek niezmiernie zawiłej budowy posiadają t. zw. cyan (połączenia węgla z azotem CN). Związek ten odznacza się niezwykłą ruchliwością i zdolnością do rozpadu pod wpływem wody na kwas węglowy (CO_2) i amoniak (NH_3). Kwas cyanowy pod bardzo wielu względami wykazuje podobieństwo do żywego białka, a mianowicie tak samo jak i białko organizmu, utleniając się w pewnych warunkach, daje mocz, w nizkiej temperaturze jest płynem przezroczystym, ogrzany zaś do pewnej temperatury scina się itp. „Podobieństwo to — powiada Pflüger, jest tak wielkie, że mógłbym kwas cyanowy uważać za cząsteczkę napół żywą." Kwestya pochodzenia życia na ziemi sprowadza się, podług tej teoryi do takich warunków, w jakich może wytworzyć się cyan. Pod tym zaś względem chemia nieorganiczna daje nam bardzo wyraźne wskazówki. Wszystkie mianowicie związki cyanowe, jak cyanek potasu, cyanek amonu, kwas cyanowy i inne mogą być syntezowane tylko przy tak wysokiej temperaturze, w jakiej topią się metale... Nasuwa się więc wobec tego przypuszczenie, że te związki wytworzyć się mogły na powierzchni ziemi wtedy, kiedy ona była jeszcze całkowicie lub częściowo w stanie ognisto-płynnym. Zresztą i inne, niebiałkowe ciała, wchodzące w skład organizmów, jak np. węglowodany mogą w tych samych warunkach powstawać syntetycznie w takiej temperaturze. „Życie więc zawdzięcza pochodzenie swe ogniowi i narodziny jego przypadły zapewne w tym okresie pierwotnym, kiedy ziemia była jeszcze roztopioną, ognistą kulą. Jeżeli obok tego wziąć pod uwagę tę niezmierną otchłań czasu, w ciągu którego odbywało się stygnięcie ziemi, to, rzecz prosta, wytworzone związki cyanowe i węglowodorowe miały dość czasu i możności wstąpić na właściwą im drogę polimeryzacyi (czyli uwielokrotnienia się, łączenia w długi łańcuch jednakowego składu, by przy udziale tlenu a następnie wody i soli mineralnych zrodzić białko, istotę żywą." W tych słowach streszcza Pflüger swoją teoryę pochodzenia życia na ziemi, teoryę, która dziś przez większą część biologów uważana jest za najdoskonalszą. Oczywiście, nie wyklucza to możności, że dalsze badania zmuszą nas do przyjęcia jakiej nowej hypotezy, jeszcze lepszej, jeszcze pewniejszej. Warunki, w jakich odbyć się mogły narodziny pierwszych związków chemicznych z własnościami ciał żywych, są nam tak mało znane, że opracowanie szczegółowej teoryi, dotyczącej tej tak ciemnej sprawy tylko sprowadzićby nas mogło na niebezpieczne manowce fantazyi. W tych jednak granicach, w jakich Pflüger rozwiązał swoją teoryę, hypoteza „narodzin życia na ziemi" z pierwiastków natury martwej daje pewien grunt, pewne podstawowe oparcie dla dalszych rozważań ewolucyjnych podniesionych przez Lamarka i Darwina a rozwijanych dalej przez Haeckla, Weissmana i ich uczniów. Historya ewolucyi organizmów zaznajamia nas z dalszym losem, z następnemi kolejami życia.

Kazimierz Kulwieć.

NOTATKI NAUKOWE.

—◆—

Dr. Gustave Le Bon. *Psychologie de l'éducation.* Paris, 1902. Flammarion.

Tytuł tej książki nie odpowiada wcale jej treści, właściwa bowiem psychologia w wychowaniu, traktowana jest tylko mimochodem i nader powierzchownie. Istotną treść zaś

stanowi charakterystyka szkół srednich francuskich, dokonana na podstawie szczegółowego sprawozdania, mieszczącego się w sześciu grubych tomach ankiety parlamentarnej, przedsiewzięte w celu zreformowania nauczania średniego. Myślą przewodnią Le Bon'a jest, że wszyscy wysilają się na układanie programów, zamiast uznać konieczność zmiany metod; przedewszystkiem więc uważa za niezbędne wytworzenie profesorów, którzy przy tym samym co dziś zasobie wiedzy, mieliby inne zapatrywania na swe zadanie, inaczej wywiązywaliby się ze swego posłannictwa. Le Bon wychodzi z założenia, że wszelkie zalety moralne jak wola, wytrwałość, zdolność do poświęceń itp. nie mogą być następstwem rozumowania abstrakcyjnego, lecz jedynie nałogu. Z czego wynika, że zadaniem wychowania jest wytworzenie owych nałogów, czyli, jak autor się wyraża, zastąpienie świadomości przez nieświadomość. Moralność bowiem, oparta na rozumowaniu, rozpłynie się za pierwszym podmuchem interesu, a ponieważ wszelkie czyny bohaterskie są wprost przeciwne interesowi, przeto muszą powstawać jedynie jako refleks. Le Bon oburza się na surowość dyscypliny szkolnej, brak swobody, zbytni nadzór i przesadną opiekę, przez co niszczy się w młodzieży wszelką samodzielność, inicyatywę i poczucie odpowiedzialności za swe czyny. W innem jednak miejscu narzeka, że profesorowie francuscy nie umieją zachować należytej powagi, nie umieją rozkazywać i wymagać posłuszeństwa. Wreszcie jako środowisko wychowawcze uznaje armię i dowodzi wbrew wszystkim myślicielom doby współczesnej, że służba wojskowa wpływa na wyrobienie poczucia solidarności, równości i braterstwa.

Z.

LITERATURA I SZTUKA.

Ormiańskie pieśni ludowe.

—•—

Arszag Czobanian, poeta ormiański, wydaje w tłomaczeniu francuskiem zbiór pieśni ludowych swego narodu. Ciekawy naród, ci „Haikowie," jak się sami nazywają! Leżąc na skrzyżowaniu dróg wszystkich europejskich i azyatyckich ludów wędrownych i zaborczych, niejednokrotnie już od VI wieku przed Chrystusem tracili swą niepodległość państwową, podbijani przez Persów, Macedończyków, Rzymian, Bizancyum, Arabów i Turków, i znów ją odzyskiwali. Utracili ją po raz ostatni przed pięcioma przeszło wiekami, kiedy półksiężyc zdetronizował ostatniego ich króla z dynastyi już nienarodowej, francuskiej, Lusignanów; a jednak w podziale, w ucisku, w rozproszeniu, nie liczniejsi ogółem dzisiaj nad 3 i pół miliona, przechowali świadomość narodową, opartą na ciągłości rozwoju literatury szczególniej od czasu, jak tłomacz Biblii, Mesrob, w V stuleciu ułożył dla nich własny, narodowy alfabet, i teraz nie przestają dalej literatury swej rozwijać, przejmując się jednocześnie nowożytnymi prądami społecznymi...

Czobonian wyzyskuje czasy powszechnego zainteresowania się tem, co się dzieje w granicach państwa tureckiego, wydając w tłomaczeniu francuskiem zbiór pieśni ludowych tego niezniszczalnego narodu; *Mercure de France* drukuje ich wybór przed wyjściem książki całej. Tłomaczenie nie jest w tym wypadku, niestety, odtworzeniem; widocznie zadanie uznane zostało za zbyt trudne. Jest ono tylbo wierne, dosłowne — ale nie oddaje ani rytmu, ani rymu. Nie możemy więc poznać z niego formy zewnętrznej myśli i uczuć ludu ormiańskiego; możemy domyślać się tylko, że jest piękna, niejasno wyczuwać jej silny urok. Wierne tłomaczenie pokaże nam jednak przynajmniej treść tych myśli i uczuć, odsłoni trochę duszę tego ludu, gorącą, dumną, a zarazem świeżą i do wesołości skłonną.

Oto np. kołysanka:

Niech dziecinie życie płynie z ojcem, z matku pospołu,
Niechaj z całem gronem braci siada zawsze do stołu;
Niech dziecinie życie płynie z ojcem, z matką do końca,
A w serduszku niech ma zawsze pełno promieni słońca,
Niech słoneczko śle promienie dziecince do serduszka,
A w ogródku niech nam rosną czerwoniutkie jabłuszka.

I kołysanka, rozpoczęta z taką czułą prostotą, kończy się tonem żartobliwym, który połaskotać ma i lekko rozbawić duszę dziecinną, jak muśnięcie piór opiekuńczego skrzydła:

A kto przejdzie, niechże sobie zrywa jabłuszka krasne.
A kto wraca, niech z ogródka bierze różyczki jasne...

A jak plastycznie, serdecznie i — wysoce humorystycznie zarazem inna króciutka kołysanka określa, usypiającemu dziecku, członków rodziny:

Matka jest jak ciepły chleb:
Kto ten chleb je, ten jest syty

Ojciec jest jak czyste wino:
Upaja się, kto je pije.

Brat zaś, brat jest jako słońce,
Które świeci górom, halom.

Ale jest i inna kołysanka—odbicie krwawego cienia, który padł na tę słodką idyllę rodzinną:

Patrz, pamiętaj tę koszulę:
Własną ręką szyłam ją:
Dziś splamiona cała krwią,
Choć ją prałam w własnych łzach.

Patrz, pamiętaj tę koszulę!
Mężny ojciec twój ją nosił.
Ojciec z grobu woła, synu!
Zemsta za mnie srogim Turkom!

Rośnij, rośnij, dziecię moje,
Abyś serce twojej matki
Uspokoił i pocieszył.

Często brzmi ta struna w ludowej lutni ormiańskiej, często słychać w piersiach tego ludu głos anioła buntu i zemsty. „Ja mieczem ognistym anioła wśród księgi wspomnień zaginam tę kartę, co o krew woła." Ten to sam anioł, którego hymnu słuchał — Lambro:

Krzyk powstał z gór Erzerumskich.
Serce Ormian zabiło przy szczęku oręża.
Wieśniak, który od wieków nie znał używania broni, porzucił łan swój i zamiast motyki wziął strzelbę i szablę.
Starzec o kiju z płaczem błaga, by ujrzał wyzwolenie ojczyzny — i umarł.
Kobiety mężów zachęcają, by szli zbierać i zadawać rany.
Życie cięży dziewczętom młodym: z bronią w ręku świecą przykładem walczącym.

Jedna pieśń sławi drogiego Aghbura, „lwa Armenii," czyli Senopa, Aghburem, to znaczy „Źródłem" przez towarzyszy zwanego, który w wilajecie bitliskim przez długi czas był postrachem Kurdów i Turków, mszcząc się na nich ze swym oddziałem za każde okrucieństwo, aż w r. 1898 został w górach otoczony i zabity wraz z żoną i towarzyszką bojów, Sosse.

Rozrzewniające są pieśni o emigracyi. Wychodźca, odjeżdżając, prosi swoich, aby zachowali jego miejsce przy stole puste i nalewali mu napoje i nakładali potrawy na talerze. Chór kobiet błaga świętego Jerzego, żeby towarzyszył mu na koniu, a świętego Mikołaja — na białym mule, i żeby go strzegli od napadów i niebezpieczeństw. Emigrant w obcym kraju śpiewa z rozpaczą: „Jestem drzewem, które wyrwano ze skalistego gruntu rodzinnego i przeniesiono do ogrodu cudzego. Polewają mnie wodą cukrzaną; lecz, o bracia! przenieście mnie do mojej ziemi i polewajcie wodą ze śniegów!" I śpiewa znowu: „Ptak każdy znalazł towarzyskę, ja jeden żyć muszę samotny. Kamień się każdy w miejscu sam zatrzymał, ja jeden toczyć się wciąż muszę... Serce moje jest jak dzban pęknięty: nalewam wciąż wody do niego, lecz ono się nigdy nie napełnia... O! jeśli przekląć kogo zechcesz, powiedz mu: bodajś był wychodźcą!" A tymczasem żona emigranta, pozostała w ojczyźnie, też tęskno zawodzi, przyrównywając siebie do słowika, który z miłości do róży rozpaczliwie śpiewa:

O mój mężu ukochany, tęskno mi do twej promiennej twarzy, pragnę twych listów miłosnych, osłabłam, słaba jestem jak łania.

Miłość twa słodka, słodkie twoje słowa, słodkie jak światło księżyca; jak wiosennych kwiatów przyjemny jest twój zapach.

Mężu mój, który jesteś tak daleko! postawa twa podobna jest cyprysowi, oblicze słońcu, a pasma włosów są jak nitki złote.

Oczy masz czarne, brwi łukowate; spojrzenie twoje — jak światłość księżyca, wargi twoje—jak wiśnie, nad niemi wąsy niby kępy fiołków.

Spala mnie tęsknota, jak słowika, który gniazdo swe utracił. Niema lekarstwa na mą ranę! Straciły siłę ręce moje, światło mych oczu przygasło. Tyś jedyna nadzieja mego serca, jedyne światło moich oczu, ty!

Czy tu i owdzie nie przypomina się — „Pieśń nad Pieśniami"?

Ale emigrant umiera daleko od ojczyzny, każe się pochować pod drzwiami ukochanej, każe odciąć sobie rękę i palce pozapalać, jak gromnice... Zwiastun przynosi złą nowinę matce: „Zdrzemnął się ogrodnik; przyszedł wróg, zerwał różę; syn twój umarł dzisiaj, umarł, nie doczekawszy spełnienia swych pragnień."

Wiele, wiele ma lud ormiański pieśni żałobnych. Oto matka na grobie syna: mgła zapada nad cmentarzem, a jej się zdaje, że syn z grobu woła: „Matko, zlituj się, zabierz mnie stąd, albo podłuż mi poduszki z prawej i lewej strony." Naiwnej matce z ludu zdaje się, że synowi twardo, niewygodnie w grobie...

Żona zmarła zapowiada mężowi swemu w porywie żalu i rozpaczy: „Orlicą się stanę, na twem oknie siędę i tak jęczyć będę, że cię sen odleci. Każdy może spać, tylko ty i ja już odtąd nigdy nie będziemy spali!.."

Mąż nad grobem młodej żony płacze inaczej: marzy, że kropla rosy spadnie na jej piękne łono i nagle ją obudzi.

W chwilach zapału patryotycznego woła dusza ludu:

Niech słowik w dolinach Muszu już nie śpiewa, niech nie śpiewa nikt na górach Sassunu...

Serca Ormian są pełne boleści, ręce Ormian krwią dymią.

Pocóżby więc wonna lilia rozkwitała na pięknych polach ormiańskiego raju?

Nie mogą ormiańskie dziewice zdobić łona kwiatami polnymi... Niech więc nie śpiewa słowik na górach Sassunu, niech w dolinach Muszu nikt nie śpiewa!

Ale nie zawsze tak było. Lud ten ma też cudne, wschodnim żarem tchnące i przepychem zdobne, pieśni miłosne.

Szyjcie płaszcz dla mojej lubej!
Weźcie słońce na pokrycie.
Weźcie księżyc na podszewkę,
A z chmur zróbcie ciepłą watę.
Z piany morskiej snujcie nici —
Guzikami będą—gwiazdy!

To wybuch zachwytu wesołego, rozradowanego. Również rozkołysaną radość zadowolonego kochanka czuć w tych nieco wymuszonych uwielbieniach, tak niezwykle brzmiących w pieśni *ludowej*:

Sorbet z jabłek najsłodszych jest twoje oblicze,
Język twój i twe usta — cukry topniejące;
Głos—dźwięk lutni; me serce jest spragnione ciebie;
Twe oczy są promienne, piersi twe—to ogród.

Gdy wchodzisz do ogrodu piękna i wyniosła,
To kwiaty tysiącami całują ci stopy,
Drzewa się pochylają, by ci pokłon oddać,
A księżyc zawstydzony chowa się w obłokach.

Ale zna pieśń ormiańska i miłość mocną i straszną, jak trucizna. Oto ballada:

Tam na górze, na Menzurze,
Pod płaczącą wierzbą źródło.
Z rury srebrnej tryska strumień
I napełnia basen złoty.

Dwie dziewice czarnowłose
Przyszły tam napełnić dzbany.
Tam na koniach przejeżdżali
Dwaj młodzieńcy urodziwi.

— Hej, na młodość twego brata! *) —
Tak się ozwał młodzian jeden —
— Ty, dziewczyno czarnowłosa,
Ochłódź-że mnie kroplą z dzbana.

— Moja woda nie ochładza,
Moja woda parzy raczej.
Już niejeden piękny młodzian
Umarł przez to, że mnie kochał.

— A więc przychylże mi dzbana:
Niech wypiję—i niech umrę!
Niechaj zginę tak, jakby mnie
Matka nigdy nie zrodziła.

Obraz ludu, który tę poezyę stworzył, nie byłby zupełny, gdybyśmy nie wspomnieli o jego znakomitym humorze. Wyborna jest rozmowa humorystyczna między mężem i żoną. Mąż obiecuje kupić krowę; żona za to — doić ją, robić masło, karmić męża śmietanką. Mąż znów w nagrodę przyrzeka żonie kupić czernidła do malowania brwi, z pędzelkiem w srebrnej osadzie. — A kiedy tak, to się umaluję i stać będę wciąż przede drzwiami, żeby mnie wszyscy widzieli? — A kiedy tak, to cię zbiję kijem. — A kiedy tak, to ucieknę do ojca i stanę się winem, zawieszonem na murze. — A kiedy tak, to ja stanę się nożem i obetnę wino. — A ja stanę się słodkim napojem i pójdę do twoich beczek. — A ja zostanę szklenicą i pić cię będę z rozkoszą. — Pić będziesz, pić, aż pękniesz! — Miłosne zalety, sprzeczka, pojednanie, znów przekomarzanie się, wszystko — w przezabawnej formie.

Może kiedy dostaniemy prawdziwie artystyczne tłomaczenie ormiańskich pieśni ludowych? Oby! Ja chciałem tylko zwrócić uwagę na tę poezyę, w której odbija się dusza ludu niepożytego, czuła, gorąca, dumna, świeża i tak skłonna do wesołości...

K. Radosławski.

*) Pieśni ludowe, jak zawsze, tak i w tym wypadku mają też ważne znaczenie etnologiczne. Zwracam uwagę na drugi już ten dowód wyjątkowego znaczenia brata w rodzinie. Tu dziewczynę się zaklina nie na ojca, ani matkę, lecz na brata. Wyżej—brat, nie ojciec, ani matka, był nazwany słońcem. W niżej przytoczonej humoresce małżeńskiej żona od złego męża ucieka do ojca i zrasta się znów z jego domem, aż ją trzeba odcinać. Są to wyraźne ślady dawnych form rodziny.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Władysław Paliński: *W odmęcie*, komedya w 4 aktach, odznaczona na konkursie imienia H. Sienkiewicza w r. 1903.

Jedna z bohaterek wystawionej świeżo w teatrze Letnim „komedyi“ p. Wł. Palińskiego zadaje swej przyjaciółce naiwne pytanie: „Czy to prawda, że ten wasz Karszowski w trumnie sypia?“ Zdaje się, że zachwiana już mocno w cnocie pani Jadwiga Komorowicka, ostatecznie zresztą, przy pomocy spowiedzi świętej, odpierająca zwycięzko pokusy szatańskie „wodza dekadentów,“ odpowiada na to przypuszczenie przecząco. Co prawda jednak, to nie dziwilibyśmy się wcale, gdyby karykatury literatów, wprowadzane z całą naiwnością w sztuce „W odmęcie,“ nietylko używały trumien zamiast łóżek, ale po nocach wyły po cmentarzach z upiorami, odgrzebywały trupy umarłych, raczyły się krwią istot niewinnych lub jeździły na Łysą Górę na kogutach: niebardzo sprzeniewierzyłyby się przez to bezmyślnej plotce, która i tak jest ich matką rodzoną, i byłyby mimo to nie o wiele dalsze od prawdy, niż figury Stefana Karszowskiego i Zdzisława Komorowickiego w swej obecnej formie.

Pewna część naszych sprawozdawców teatralnych, którzy po to głównie zdają się umieszczać w pismach codziennych swe obszerne recenzye, aby podnosić i wychwalać miernoty, a obniżać znaczenie i wartość utworów, drgających istotnym talentem, nie zawahała się upleść p. Palińskiemu wieńca wiwatów i pochwał, choć utwór jego, nawet w wyścigu konkursowym imienia Sienkiewicza, zdobył tylko jedno z dalszych odznaczeń. Ktoś nawet, straciwszy od dawna w pogoni za frazesem poczucie istotnego znaczenia wyrazów, odnalazł w ostatniej nowości teatru Letniego molierowskie (!) uśmiechy czy przebłyski. Przetłomaczone na język prozy, znaczy to tylko, że niektórym naszym dziennikarzom był w danej chwili bardzo na rękę ten ceber brudnej wody, który p. Paliński w przystępie dobrego humoru pozwolił sobie wylać na głowy skarykaturowanych potwornie przedstawicieli literatury, mających reprezentować u nas tak zwany (w języku komoszek warszawskich) dekadentyzm.

Wyznam otwarcie, że w stosunku do dzieł sztuki wyrazu tego nigdy nie rozumiałem i jestem na tyle zacofany, że utwory literackie i artystyczne dzielę po dawnemu na dwie tylko kategorye: do pierwszej zaliczam dzieła, w których przejawia się siła twórcza i talent, do drugiej — rzeczy, pozbawione tych właśnie pierwiastków. Szczerość wyznać każe, iż do pierwszej z tych kategoryj niepodobna włączyć odznaczonej na konkursie im. Sienkiewicza „komedyi“ p. Wł. Palińskiego.

Pomijając nawet zupełnie plotkarsko-pamfletowy charakter tego utworu, w szeregu wyprowadzonych w nim postaci uderzają przedewszystkiem dwie cechy: karykaturalna przesada i szablon. Karykaturą jest niewątpliwie ta dzika postać „dekadenta,“ zjeżdżającego do cichego dworu wiejskiego, by wypijać w nim całe butelki wódki i zawiązywać jednocześnie cztery romanse, z kim się da: od dziewki folwarcznej i piętnastoletniego podlotka aż do cnotliwej i sympatycznej pani domu i jej sąsiadki, ciekawej bardzo, jak wyglądają z bliska „dekadenci.“ Inny, niemniej już dziś rażący rodzaj karykatury — stanowią takie przedpotopowe okazy szlachty, pojedynkowiczów i dziwaków, jak Borski, Wrzeński i Milski, a reszta w sztuce, cały ten cnotliwy dwór wiejski, to już tylko szablon wytarty i ograny, o którym nie warto byłoby wspominać, gdyby nie pewien wdzięk w postaci Jadwigi, wlany w nią zresztą, być może, przez dyskretną grę pani Marcello.

Sztuka wogóle została wystawiona i odegrana starannie i, dzięki zręcznej dosyć budowie scenicznej i paru dobrze wyzyskanym efektom, budzi nawet pewne zajęcie, spotęgowane jeszcze t. zw. „aktualnością“ tego utworu. Gdy ta przeminie, „komedya“ „W odmęcie“ straci swe chwilowe znaczenie i ani jedno słowo nie przejdzie z niej do literatury prawdziwej.

Wł. Bukowiński.

Notatki literackie i artystyczne.

POEZYE. Juliusz Słowacki: „Samuel Zborowski,“ dramat w 5 aktach. Wydanie z autografu ze wstępem i objaśnieniem dr. H. Biegeleisena. Nakład księgarni Fiszera.

— Marya Kazecka: „Kędy milczy słońce.“ Nakład księg. Wendego.

— M. Zaruski: „Sonety morskie, Sonety północne.“ Nakł. Gebethnera i Wolffa,

— El. (Kazimierz Laskowski): „Z majowych dni,“ wiersze i śpiewki. Przedruk z *Kuryera Warsz.* Skład w ks. Hösicka.

UTWORY POWIEŚCIOWE: Kazimierz Tetmajer: „Na skalnem podhalu.“ Nakł. Gebethnera i Wolffa.

— Stefan Gacki: „Rozdźwięki.“ Nakład Fiszera.

— Hall Caine: „Izrael“ (Kozieł ofiarny), przekład z ang. Maryi Feldmanowej. Nakład H. Cohna.

— Ludwik Stasiak: „Pieniądz.“ Nakład Księgarni Polskiej, Lwów. Skład u Wendego.

— Wiktorya Przeradzka: „Fragment.“

— Antoni Miecznik: „Z prądem życia.“ Nakład Warsz. Spółki Wydawniczej.

— Feliks Brodowski: „Chwile“ (fantazye, nowele, obrazy natury), z przedmową St. Krzemińskiego. Gebethner i Wolff.

— Wiktor Gomulicki: „Miecz i łokieć,“ powieść z XVII w., 2 t. Nakład Gebethnera i Wolffa.

— Aleksandra Łapińska: „Z ludzkich dróg,“ nowele. Wende.

— Ignacy Dąbrowski: „Chwila była przedwieczorna“ (wrażenia). Nakład J. Fiszera.

LITERATURA. A. Brückner: „Dzieje literatury polskiej w zarysie,“ tom II, zeszyt 3. Nakład Gebethnera i Wolffa.

— A. Potocki: „Szkice i wrażenia literackie.“ Lwów, nakład Tow. Wydaw. Skład w ks. Sadowskiego.

SPRAWY EKONOMICZNE

Kwestya rolna w Anglii.

Sumienie parlamentu angielskiego przemówiło nareszcie: znaczną większością głosów został przyjęty Bill Irlandzki, postanawiający wykupienie całej ziemi od wielkich landlordów i oddanie jej na pewnych warunkach farmerom, którzy ją od dawna wyłącznie uprawiali.

Komu choć trochę znane są stosunki brytańskie, ten zrozumie, iż bill ten jest owocem wytrwałej agitacyi bardzo poważnego już dzisiaj stronnictwa politycznego, dążącego do unarodowienia ziemi w całej Wielkiej Brytanii. Bill irlandzki stanowi wielki krok naprzód w tym kierunku; z tej przyczyny warto się obznajomić z najważniejszymi punktami ruchu, który go wywołał.

Artykuł niniejszy opieram na niewielkiej książce Józefa Hydera, jednego z najgorętszych działaczy na tem polu. Nie posiadając wielkich zdolności krasomówczych odznacza się on siłą logiki i dlatego wykłady jego, jakkolwiek nieporywające, przekonywają.

Aby zrozumieć całą doniosłość ruchu, dążącego do unarodowienia ziemi, musimy się przedewszystkiem zapoznać choćby pobieżnie z dzisiejszym, niesłychanym, monopolem, jakiego przedmiotem jest cała ziemia w Wielkiej Brytanii. Z małym wyjątkiem tych obszarów, które są własnością państwa albo gmin, cała ziemia należy wyłącznie do wielkich właścicieli, którzy są jej nieograniczonymi posiadaczami, nie mają wobec państwa lub gminy żadnych zobowiązań i żadnych podatków nie płacą. Ten sam więc fakt jest niesłychanym przy-

wilejem i krzywdą społeczną, ponieważ wszystkie ciężary podatkowe spadają na klasy nieuprzywilejowane i najmniej do płacenia podatków moralnie zobowiązane. Ale na tem nie koniec. Landlordowie w inny jeszcze sposób wyzyskują swoje wyjątkowe położenie. Ziemię wydzierżawiają farmerom pod uprawę i każą im płacić bardzo wysokie czynsze, które podnoszą w miarę tego, jak ziemia, dzięki wytrwałej pracy rolników, nabiera coraz większej wartości. Według prawa angielskiego własnością landlorda jest nietylko ziemia, lecz i to wszystko, co się na niej lub też pod jej powierzchnią znajduje, a więc bogactwa mineralne z wyjątkiem srebra i złota, będących własnością państwa. Od woli przeto landlordów zależy nietylko dopuszczenie ludzi do uprawy roli, ale i do eksploatacyi wszelkich bogactw mineralnych. Za prawo wydobywania z ziemi węgla, żelaza i innych minerałów każą sobie panowie landlordowie płacić sumy, dochodzące nieraz do takiej wysokości, że eksploatacya staje się wprost niemożliwa. Zarówno kapitalista, jak przedsiebiorca stoi bezradny wobec tej samowoli landlorda, której prawo angielskie niczem ograniczyć nie pozwala. Przedsiebiorca woli więc nieraz zupełnie zaniechać swej pracy, niż opłacać zbyt wygórowane wymagania właścicieli. W ten sposób wytwarza się sztuczne bezrobocie, wytrącające setkom lub tysiącom rodzin robotniczych kawałek chleba z ręki. Prócz czynszu, za pozwolenie wydobywania bogactw mineralnych z ziemi, landlord wymaga jeszcze osobnej opłaty od każdej wydobytej tonny; przy wejściu do kopalni znajduje się upełnomocniony przez niego najemnik, który odważa w tym celu każdą tonnę wychodzącą na powierzchnię. Ale nie koniec na tem. Jeżeli szyb kopalni opuszcza grunt właściciela, który na eksploatacyę pozwolił i wkracza do posiadłości innego, to ten każe sobie płacić, tak zwane drogowe, za każdy jard kopalni pod jego posiadłością. Jeśli się zdarzy, że szyb kopalni biegnie przez ziemie kilku właścicieli, to przedsiebiorca zobowiązany jest płacić każdemu z nich wyznaczone przez nich drogowe. Kto myśli, że na tem koniec, ten nie ma pojęcia o pomysłowości landlordów angielskich. Zdarza się też często, że od kopalni do najbliższej stacyi kolejowej trzeba przejechać z towarem przez grunt obcego landlorda, a nawet kilku. I wszyscy oni znowu każą płacić drogowe.

Nietrudno wyobrazić sobie, jakie opłakane następstwa pociąga to za dla przemysłu angielskiego. Monopolowi podlega zarówno węgiel jak żelazo, te dwa najważniejsze produkty ziemi brytańskiej. Ponieważ przemysł żelazny musi walczyć z tak niesłychanemi trudnościami i opłacać się monopolowi landlordów, przeto nic dziwnego, że wyroby angielskie są bardzo drogie, i że nie mogą wytrzymać konkurencyi z wyrobami innych krajów europejskich lub z amerykańskimi. Drogość wyrobów angielskich nie wypływa z konieczności płacenia robotnikowi angielskiemu wyższych zarobków, lecz jedynie i wyłącznie z opłacania się monopolistom.

Jeżeli teraz weźmiemy pod uwagę całokształt skutków ekonomiczno-społecznych angielskiego landlordyzmu, to zobaczymy, że pierwszym rezultatem jest wyludnienie wsi, którą właściciele zamieniają na parki do polowań, na pastwiska dla owiec, lub wreszcie na pustkowia, i przeludnienie miast, do których chroni się cała, ze wsi wyparta ludność kraju. Dalszym tego wynikiem jest przepełnienie miejskiego rynku pracy, niemożność zatrudnienia wszystkich rąk i armia pozbawionych roboty. Badania, prowadzone w Londynie, wykazały, że świeżo przybywający do miasta wieśniacy, jako silniejsi i zdrowsi, wypierają w walce konkurencyjnej zwyrodniałych i osłabłych już mieszczuchów, którzy zapełniają szeregi pozbawionych pracy robotników.

Monopol landlordów nie ogranicza się do wsi, lecz rozciąga się też i na miasta, gdzie wywołuje bardzo zgubne dla ogółu ludności następstwa. Wskutek chciwości monopolistów miejskich czynsze rosną nieustannie, wskutek chciwości wiejskich wzrasta armia robotnicza i obniżają się jej zarobki. Mieszkania więcludności roboczej przedstawiają poważne braki, które pociągają za sobą fatalne następstwa. W niesłychanej ciasnocie nie może nawet staranna gospodyni zachować należytej czystości, wskutek tego mąż jej ucieka z domu i przepędza wolne chwile w knajpie publicznej, w której jest czysto, widno, ciepło i wogóle bardzo przyjemnie, zwłaszcza w porównaniu z norą zajmowaną przez robotnika. Oto jedna z przyczyn strasznego pijaństwa, grasującego wśród angielskiej klasy robotniczej, której kobiety stały się też już ofiarą nieokiełznanego alkoholizmu. A biedne dzieci? Jakiż jest los nieszczęsnych? Cały dzień muszą spędzać na ulicy i dosłownie tarzać się w rynsztoku, a noce w jednym pokoju, ba nawet w jednem nieraz łóżku z rodzicami i domownikami! Jakaż może być wartość moralna tej dziatwy?

Straszna konieczność mieszczenia się w jednym małym pokoju mężczyzn i chłopców z kobietami i dziewczynami pospołu, mający zazwyczaj tylko jedno łóżko do wspólnego użytku, musi pociągać za sobą opłakane skutki moralne i społeczne. Za nieczystością ciała, wynikającą z ciasnoty, idzie nieczystość duszy, zwyrodnienie fizyczne i moralne. System społeczny, przyznający całej rodzinie prawo do jednego tylko pokoju i jednego łóżka, sprzyja rozwojowi kazirodztwa i prostytucyi, suchot oraz całego legionu chorób, pochodzących z braku dostatecznej ilości czystego powietrza do oddychania. Tylko w Anglii spotkać można domy, które stykają się ze sobą tyłami, wskutek czego niema zupełnie przewiewu. Domy nietylko są natłoczone, ale jeszcze bardzo odległe od fabryk i kopalń, tak że robotnicy muszą wiele czasu tracić na chodzenie do miejsc zarobku. Wszystko to jest wynikiem monopolu ziemi i niemożności takiego jej zużytkowania, jaki byłby najkorzystniejszy dla stron interesowanych.

Czyż można się dziwić, że wobec tego reformatorowie społeczni w Anglii domagają się jak najprędszego rozwiązania kwestyi agrarnej, która wszystkim już, z wyjątkiem landlordów, stanęła kością w gardle? Położenie jest wprost nie do zniesienia. Parlament, złożony przeważnie z landlordów lub ich popleczników, nie może się jednak zdobyć na krok radykalny. Landlordowie to klasa pasorzytów żyjących bez żadnej pracy i troski. Majątki ich zwiększają się nieustannie wskutek wzrostu wartości ziemi, do czego oni jednak niczem się nie przyczynili. Jest to przedewszystkiem wynikiem ciągłego pomnażania się ludności i rozwoju przemysłu oraz handlu, z których korzystać powinno całe społeczeństwo, a nie jedna tylko klasa uprzywilejowanych posiadaczy ziemskich; dla nich bowiem ten przyrost jest zgoła niezasłużonym, zbierają bowiem owoce tego, czemu na każdym kroku stawiają przeszkody. Ten, przez nikogo niezarobiony przyrost wartości ziemi oraz jej produktów, powinien być obrócony na cele publiczne i na te ulepszenia, na które obecnie niema pieniędzy. Oto jest kamień węgielny, na którym opierają się wszystkie reformatorskie postulaty stronnictwa, dążącego do unarodowienia ziemi w Wielkiej Brytanii. Dla osiągnięcia tego celu trzeba, aby kapitał zarówno jak praca zrozumiały, że obalenie monopolu władania ziemią leży w ich wspólnym interesie. Zrozumieć zaś to nie trudno przy odrobinie dobrej woli. Przykład historyczny poucza, iż kapitał może razem z pracą dążyć do wspólnych celów. Gdyby nie zgoda kapitalistów i robotników, to obalanie słynnych a szkodliwych praw zbożowych nie byłoby przyszło do skutku. Koalicya kapitału i pracy, zwrócona przeciwko landlordom, osiągnie niewątpliwie też dobry skutek. Trzebaby tylko tak samo, jak przy obaleniu praw zbożowych, zgody i jednolitego działania, a tymczasem obecnie o tem nie ma mowy, ponieważ zwolennicy unarodowienia ziemi nie porozumieli się jeszcze co do dwóch najważniejszych punktów, a mianowicie: odszkodowania i jego formy. Jedni, idąc za przykładem Henryka George'a, są zwolennikami prostej konfiskaty ziemi, która niegdyś prawem kaduka została przez landlordów przywłaszczona; drudzy zaś, idąc za Wallacem, pragną sprawiedliwości społecznej i odszkodowania, nie godząc się na sposób ich przeprowadzenia. Skoro już zasada została uznana, to należy się spodziewać, iż na punkcie szczegółów nastąpi wcześniej lub później porozumienie i rzecz zostanie pomyślnie rozwiązana. Na reformie tej ostatecznie zyskają i sami landlordowie, jakkolwiek na razie będą się niewątpliwie uważali za mocno pokrzywdzonych. Tak jednak zawsze było z każdym przywilejem i każdym ważnym krokiem naprzód w rozwoju kulturalnym.

Wojciech Szukiewicz.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W kościele popijarskim w Warszawie wmurowany został pomnik dr. Józefa Mianowskiego, b. rektora b. Szkoły Głównej. Pamiątkę tę ufundowali swemu przewodnikowi wychowańcy wydziału prawnego.

— Łódź posiada obecnie 320,486 mieszkańców — 155,581 mężczyzn i 164,905 kobiet.

Wiadomości urzędowe. *Wied. odesk. gradonacz.* ogłasza: „Na zasadzie doniesienia p. o. policmajstra odeskiego, iż studenci uniwersytetu noworosyjskiego: Grzegorz Lordkipanidze, Akakij Korkaszwili, Aleksander Korkaszwili, Bazyli Cereteli, Aleksy Arafaiłow, Aleksander Czikwaidze i Jan Eksarew, przekroczyli obowiązujące w Odesie postanowienia z r. 1902 o zakazie wszelkiego rodzaju zebrań i zbiegowisk na ulicach, placach, w teatrach i wogóle miejscach publicznych, p. o. naczelnika miasta Odesy, na mocy § 15-go przepisów o wzmocnionej ochronie, skazał wymienionych studentów każdego na karę 150 rb. lub miesiąc aresztu.“

Szkoły i wychowanie. Niektóre warszawskie szkoły handlowe zwracały się do ministeryum skarbu z prośbą o pozwolenie dopuszczenia do egzaminów z ukończenia szkół handlowych osób, które kurs tych szkół przechodziły w domu. Oddział naukowy ministeryum odpowiedział, że dopuszczenie eksternów do egzaminu w zasadzie już uchwalono, jednak oddział naukowy będzie wymagał, aby kandydaci z prośbami o dopuszczenie do egzaminu zwracali się bezpośrednio do oddziału naukowego, który wskaże, gdzie mają zdawać. Dla Królestwa Polskiego ma być tymczasowo wyznaczona jedna szkoła handlowa w Warszawie.

— Przy Maryjskiej szkole rolniczej w Saratowie otworzono kursa rolnicze dla kobiet.

— Od d. 8 do 29 lipca odbywać się będą w Krakowie kursa wakacyjne dla lekarzy. Wykładać będą wszyscy profesorowie oraz 3 docentów.

Wiadomości naukowe. Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza dwa następujące konkursy na stypendya naukowe: 1) im. ś. p. Zenona Pileckiego w sumie 2,400 koron, dla rodowitego Polaka, katolika obrządku rzymskiego lub grecko-unickiego, który ukończył kurs nauk uniwersyteckich ze stopniem doktora lub też w jednym z uniwersytów rosyjskich ze stopniem naukowym kandydata, i pragnie udać się za granicę, celem dopełnienia studyów w obranym zawodzie naukowym. Kandydat powinien władać biegle językiem polskim i postarać się o wszelkie dowo-

dy, świadczące nietylko o jego uzdolnieniu, wytrwałej pracy i zamiłowaniu w naukach, lecz także o moralności; pierwszeństwo dane będzie kandydatowi, pochodzącemu z Królestwa lub Cesarstwa. O stypendyum to ubiegać się mogą, poświęcający się naukom humanistycznym. Podania wnosić należy do Akademii Umiejętności do d. 15 czerwca i dołączyć do nich dowody, że kandydat według warunków powyżej określonych ma prawo ubiegać się o powyższe stypendyum, oraz dokładny program studyów, które w ciągu roku zamierza odbywać. Stypendyum powyższe wypłaci kasa Akademii Umiejętności w dwóch równych ratach półrocznych, dnia 1 października r. b. i 1 kwietnia r. p. Wypłata drugiej raty zależeć będzie od uchwały komitetu, któremu stypendysta po upływie pierwszego półrocza złoży wyczerpujące sprawozdanie z odbytych studyów; 2) Na stypendyum im. Śniadeckich z fundacyj ś. p. Seweryna Gałęzowskiego w sumie 5,000 franków, którego celem ma być, przez studya naukowe za granicą, zapewnienie uniwersytetom w Krakowie i Lwowie sił nauczycielskich, a krajowi — ludzi pracujących na polu nauki. O stypendyum to ubiegać się mogą, poświęcający się naukom humanistycznym, a nadto winni posiadać wyższy stopień naukowy i być znani z gorliwej pracy w zawodzie, któremu pragną się poświęcić, w każdym zaś razie wymagana będzie od nich biegłość w języku polskim. Podania wnosić należy do Akademii Umiejętności w Krakowie do d. 15 czerwca r. b. i dołączyć do nich dowody: 1) że kandydat warunków powyżej określonych może ubiegać się o powyższe stypendyum; jeżeli zaś jest docentem, powinien wykazać, co dotychczas wykładał i ilu miał słuchaczów; 2) prace naukowe, ogłoszone drukiem albo też rękopiśmienne; 3) dokładny program studyów, które w ciągu roku zamierza odbywać. Inne warunki niniejszego stypendyum są takie same, jak i pierwszego, z tą tylko różnicą, że terminy wypłaty rat oznaczone są na 10 października r. b. i 10 kwietnia r. p.

Ze sztuki. W Towarzystwie Zachęty otworzoną została wystawa dzieł dłuta i pędzla Wacława Szymanowskiego.

— Dnia 16 b. m. odsłoniono w Krakowie pomnik Artura Grottgera, wzniesiony ze składek artystów polskich.

— W lwowskiem Muzeum przemysłowem miejskiem urządzono wystawę dawniejszych i nowoczesnych okazów sztuki stosowanej, pochodzących ze zbiorów austryackiego Muzeum przemysłowego sztuki i przemysłu w Wiedniu.

— W Noworosyjsku otworzono wystawę obrazów malarzów polskich.

Literatura i prasa. Na zebraniu członków Towarzystwa słowiańskiego w Moskwie postanowiono rozpocząć przygotowania do uroczystego obchodu w roku 1910 pięćsetnej rocznicy bitwy pod Grunwaldem. Prezes Towarzystwa, p. Spiridonowicz, ofiarował 5,000 rb. jako nagrodę za najlepsze dzieło o bitwie pod Grunwaldem i jej znaczeniu dla narodów słowiańskich, a Tow. przeznacza od siebie nadto 4,000 rb. za dwie najlepsze prace. Termin nadsyłania rękopisów w jakimkolwiek języku słowiańskim, oznaczono na dzień otwarcia wystawy wszechsłowiańskiej.

Sprawy ekonomiczne. W ciągu r. 1901 w obrębie gub. Lubelskiej, Radomskiej i Kieleckiej wypito 844,165 wiader wódki, w porównaniu z r. 1900 mniej o 93,138 wiader. Ilość wódki, przypadająca na każdego mieszkańca tych gubernij wynosi 0,859 wiadra rocznie.

Robotnicy fabryczni w Tomaszowie Rawskim organizują stowarzyszenie spożywcze.

— Na odbytym w Petersburgu zjeździe przedstawicieli fabryk żelaza zalecono zabronić budowania facyat drewnianych tam, gdzie nie są dozwolone budynki drewniane; urządzania w miastach piwnic drewnianych; uznać za pożądane: zastąpienie podkładów drewnianych żelaznymi, aby na posiedzeniach samorządów w sprawach technicznych brali udział technicy zawodowo wykształceni; podjąć starania: o przejrzenie i zniżenie taryf kolejowych na żelazo i wyroby z niego, o zwiększenie budowy linij kolejowych znaczenia ekonomicznego przy pomocy inicyatywy prywatnej, która nie ma zastosowania skutkiem ograniczenia żądań i niezabezpieczenia strat; wreszcie o peryodyczność zjazdów przedstawicieli fabryk żelaza, zwołanie zjazdów metalurgów i ogłaszanie projektów prawa, wpływających na rozpowszechnienie żelaza.

Koleje i komunikacye. Z powodu nadużyć, popełnionych przy określaniu zawartości wysyłanych ładunków, zarząd kolei Nadwiślańskich zmienił odpowiedni przepis w ten sposób, że właściciel towaru „jest obowiązany“ (dawniej „powinien“) dokładnie określić rodzaj ładunku — w razie przeciwnym dokonywa tego zarząd stacyi wysyłającej.

— Od d. 14 czerwca wprowadzone będą nowe przepisy o odszkodowaniu za zagubione towary i bagaże z określoną wartością. Skutkiem tej zmiany pobierana będzie opłata dodatkowa ubezpieczeniowa: od towarów po $^1/_2$ kop., od bagażów po $1^1/_2$ kop. od każdych 100 rb. zadeklarowanej wartości i 100 wiorst drogi; od towarów ulegających szybkiemu zepsuciu, zwierząt przedmiotów wybuchowy itp. opłata wynosić będzie 5 kop.

— Z polecenia ministeryum komunikacyj zjazd przedstawicieli służby ruchu opracował sposoby zapobiegania okradaniu i zabijaniu podróżnych przez zbrodniarzy podczas biegu pociągów. W tym celu ma być powiększona służba pociągowa w dzień, a wzmocniona w nocy, oraz urządzone zamknięcia wewnątrz przedziałów.

— Na kolei Wschodnio-Chińskiej zaczęły kursować pociągi Express między stacyą Mandżurya a Port-Arturem. Pociągi te, z wagonami I II klasy, odchodzić będą z Mandżuryi w środy, a stawać u celu w niedziele. Łączyć się będą z osobnymi pociągami wychodzącymi z Irkucka do Europy.

Katastrofy. We wsi Brynicy, w pow. Kieleckim, pożar zniszczył 108 budynków gospodarskich, należących do 30 rodzin niezamożnych.

— W pow. Pińskim spaliło się prawie doszczętnie miasteczko Pohost, pozostały bowiem tylko cztery domy i kościół, przytem zginęło w płomieniach dwoje ludzi.

— Miasteczko Rożniatow, położone w Galicyi Wschodniej, zgorzało; nędza śród kilkudziesięciu rodzin ogromna.

— Dnia 11 b. m. w okolicach Brodów, w Galicyi, zerwał się straszliwy orkan, który zniósł kilkadziesiąt zabudowań, kilku włościan postradało życie.

— W okolicach Zabrza i Zaborza na Górnym Śląsku, w okręgu kopalnianym, zapada się ziemia, tworząc szerokie i głębokie szczeliny, w których znikły drzewa znacznej wysokości.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 8 Мая 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.